Kurjer literacko naukowy

ROK IV. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 42

MIECZYSŁAW PISZCZKOWSKI

Studjum o „Panu Tadeuszu"

Czy poezja „czysta"? - Pozory nowatorstwa. - Rezultaty metody „formalnej"

Epos Mickiewicza ma już osobną literaturę z monografjami Walerego Gostomskiego i Stanisława Pigonia na czele. Niemniej każda nowa rozprawa o *Panu Tadeuszu* budzi żywe zainteresowanie. Studjum. o które nam obecnie chodzi, napisał profesor Manfred Kridl, jako przedmowę do wydania poematu przez firmę J. Przeworski (Warszawa 1934).

Rozprawa prof. Kridla jest spejalnie ciekawa, gdyż autor, propagujący w ostatnich latach tzw. metodę formalną w badaniach literackich, zastosował ją do dzieła Mickiewicza. Zajmują nas więc pytania: jak owa metoda, mająca wiele zalet, zabłyśnie w użyciu wybitnego polonisty i jakie nowe, dotąd nieznane walory *Pana Tadeusza* dadzą się nią rozpoznać?

Prof. Kridl stara się konsekwentnie przeprowadzić zasadę formalistyczną, iż dzieło literackie należy badać wyłącznie jako zjawisko czystego artyzmu. Autor dowodzi, że Mickiewicz, tworząc *Pana Tadeusza*, nie miał żadnych celów obcych sztuce, politycznych, narodowych etc. Gdy III. część *Dziadów i Księgi pielgrzymstwa* były wojną w obronie polskości, to w *Panu Tadeuszu* duch poetycki występuje w stanie „czystym", bez przymieszek „wojennych", tj. dokonywania patetycznego gwałtu nad życiem i poezją, mieszania tych dwu różnych dziedzin.

Że *Pan Tadeusz* jest mniej patrjotyczno - wojowniczy od III. części *Dziadów i Ksiąg*, to rzecz jasna, natomiast „czystość" poetycka, uwydatniona przez Kridla, wcale nas nie przekonywa. Oprócz drobnych wierszy lirycznych, jak *„L'Automne"* Verlaine'a lub *Marsz żałobny* Jana Zahradnika, niema dzieł „czystych", dzieł w których nie mieszałyby się ze sobą życie i poezja. „Patetyczny gwałt", wspomniany przez prof. Kridla, jest podstawą ogromnej części dzieł sztuki pisarskiej, nietylko w Polsce. *Boska Komedja* Dantego, dramaty Schillera, powieści Tołstoja, są podobnie, jak III. część Dziadów, patetycznem zmieszaniem różnych pierwiastków życia z elementami sztuki. Oczywiście, w badaniu literackiem przedmiotem głównym są elementy artystyczne, nie zawsze jednak dadzą się one wyodrębnić zupełnie od czynników obcych (heteronomicznych), np. moralnych, ideowych, socjalnych.

Aby uzasadnić „czystość" poetycką *Pana Tadeusza*, prof. Kridl zaprzecza jakoby utwór Mickiewicza miał *ideę*, powołuje się przytem na autorytet pewnego inteligentnego i wykształconego (jak nas zapewnia) cudzoziemca, który „zapytany, co uważa za główną *ideę Pana Tadeusza*, odpowiedział, że idej takich jest bardzo dużo, na każdym kroku można się z niemi spotkać: grzybobranie, kawa z kożuszkiem, mrówki Telimeny, bigos, wieprzak, uciekający przed burzą i zatrzymujący się na chwilę, aby uszczknąć jeszcze garść smakowitej trawy itd. itd."

Zdaniem prof. Kridla kryje się w tem żartobliwem powiedzeniu słuszne i jedynie racjonalne sformułowanie charakteru poezji wogóle, a poezji epickiej w szczególności. Autor przeciwstawia się tezie Pigonia, że ideą *Pana Tadeusza* jest unja Korony z Litwą i zaścianek szlachecki jako „komórka narodowości". Nawet bohaterstwo i poświęcenie ks. Robaka uważa Kridl za motyw znaczący tyle samo, co polowanie na szaraka, lub uciekający przed burzą wieprzak. Egalitaryzm Kridla płynie z entuzjazmu dla nowego *życia*, tworzonego przez poezję. W tem ogólnikowem *życiu* wszystko jest rzekomo równie doniosłe.

Zapytajmy jednak: coby zostało z *Pana Tadeusza*, gdyby w nim nie było Robaka, ani bitwy z Moskalami, ani zaścianka, ani zbratania Litwinów z Koroniarzami, ani przygotowań do powstania, ani wreszcie wszechstronnego obrazu psychiki polskiej?

Zostałby piękny poemat opisowy, jak *Gody życia* Dygasińskiego, *Soból i panna* Weyssenhoffa, lub *Zapiski myśliwego* Turgeniewa, ale nie byłoby genjalnego arcydzieła i nie byłoby epopei narodowej. Ważność idei *wymaga* większej skali artyzmu, — przynajmniej wówczas, gdy dzieło osiąga kształt doskonały, jak właśnie *Pan Tadeusz*.

Lekceważąc problem idei w *Panu Tadeuszu*, krytyk stwierdza jednak, że *tematem* utworu jest „zespół różnorodnych wątków i motywów, dających w sumie całokształt życia życia pewnej zbiorowości ludzkiej w określonej przestrzeni i w określonym czasie". Gdyby jeszcze dodać, że chodzi tu o *życie polskie na przełomie dwu ważnych epok*, mielibyśmy istotny temat (a zarazem ideę!) *Pana Tadeusza*. Zagadnienie eposu narodowego, które siłą faktu wysuwa się na pierwszy plan przy analizie *Pana Tadeusza*, porusza Kridl tylko pośrednio wśród uwag o kompozycji poematu. Główną jej cechą jest „ustawienie poszczególnych elementów i motywów w ten sposób, aby z tej konstrukcji najwyraziściej i najpełniej wyłonił się obraz społeczeństwa szlacheckiego na przełomie wieku XVIII i XIX".

Taka kompozycja, uwzględniająca rolę i wagę szczegółów epickich, — naszem zdaniem — nabiera pełnego sensu dopiero wówczas, gdy obraz narodu w pewnej ważnej dla jego rozwoju epoce uznamy za ideę i temat dzieła.

Mickiewicz, jako rasowy epik, lubuje się w swobodnem opisywaniu szczegółów, roznamiętnia się w „malowaniu" przyrody, w uplastycznianiu obyczajów wiejskich itp., ale mimo to teza prof. Kridla o „prymacie szczegółu epickiego", który rzekomo wpływa w sposób decydujący na ogólny charakter *Pana Tadeusza*, wydaje nam się zbyt skrajna. Krytyk, walcząc z „ideologją" w znaczeniu popularnem, nie docenił roli koncepcji intelektualnej (mniej lub bardziej świadomej), która *nie zawsze da się ująć w jakąś łatwą formułkę, ale zawsze istnieje w wielkich konstrukcjach artystycznych.*

* * *

Unikając w analizie naukowej wszystkiego, co nie znajduje się w tekście, Kridl dość jednostronnie interpretuje tzw. prawdę poetycką *Pana Tadeusza*. Przekonywająca prawdziwość opisów Nowogródczyzny pochodzi nie stąd, że Mickiewicz czerpał materjał z rzeczywistości, ale stąd, że poeta „mocą swego genjuszu właśnie *stworzył* (czyli powołał do życia z niczego) i puścił w ruch cały świat fikcyjny, wymyślony, że potrafił nam jego prwadę z nieodpartą siłą narzucić". Jest to ujęcie symplistyczne.

W sztuce wszystkie elementy rzeczywistości objektywnej zostają przestylizowane, zdeformowane; sprawą istotną jest *stopień* tej deformacji. Prawda poetycka może być *bliska* lub *daleka* w stosunku do prawdy życiowej. Czytelnik uznaje i poddaje się zarówno prawdzie poetyckiej silnie odbiegającej od rzeczywistości codziennej, jak i prawdzie poetyckiej ściśle z nią związanej. Podobnie zresztą jest w malarstwie. Przekonywa nas zarówno fantastyczna prawda wizyj Böcklina, jak i realistyczna prawda portretów Raffaela czy Tiziana. Dla prawdziwości *Pana Tadeusza* nie jest momentem ważnym zgodność poszczególnych osób, zdarzeń czy obrazów z pierwowzorami rzeczywistemi, ale ważną kwestją jest bliskość prawdy poetyckiej, wobec prawdy życiowej. Dzięki tej bliskości *Pan Tadeusz* jest nam taki zrozumiały, prosty, jakby codzienny. Że poeta osiągnął ten efekt zapomocą odpowiednio logicznego, jedynie możliwego układu motywów artystycznych, to rzecz oczywista. Bez swoistej organizacji i transpozycji elementów objektywnych na elementy artystyczne nie mielibyśmy wogóle literatury.

Z bliskości prawdy poetyckiej *Pana Tadeusza* wobec prawdy życiowej wynika realistyczny typ stylu i języka, jakim pisany jest utwór Mickiewicza. To, co Kridl mówi o środkach językowo-słownych poematu jest albo niesłuszne albo nienowe. Podkreślenie prostoty i „potoczności" języka, a równocześnie niepospolitości ekspresji słownej, nie przynosi rezultatów naukowych. O „cudownym" rytmie i rymie *Pana Tadeusza* powiada prof. Kridl, że są to elementy tajemnicze, trudne i dotąd niewyjaśnione. Zapewne. Szkoda tylko, że znakomity krytyk nie pokusił się o ich wyjaśnienie, chociażby metodą formalną, która mogłaby posłużyć za doskonałe narzędzie.

Z żywem zainteresowaniem oczekujemy zapowiedzianych ostatnio studjów prof. Kridla o poezji romantycznej, widzianej ze stanowiska czystej sztuki. Studja te przyniosą może więcej pozytywnych wyników, niż przygodna rozprawka o *Panu Tadeuszu*.

W sprawie B. Radziwiłłównej

W poprzednim „Dodatku naukowo-literackim" (Nr. 41) ogłosił prof. A. Medyński streszczenie rozprawy dr. Witolda Ziembickiego pt. *„Barbara Radziwiłłówna w oświetleniu lekarskiem."* Rozprawa ta przynosi istotnie nową koncepcję, popartą fachowemi dociekaniami autora. Niemniej dr. Ziembicki sam podkreśla hipotetyczny charakter swych wywodów, tymczasem sprawozdawca użył kategorycznego tonu, zmieniającego intencje autora. P. Medyński pisał, iż wyniki, do których doszedł dr. Ziembicki „nabierają znaczenia ostatniego, rozstrzygającego w tym względzie twierdzenia". Otóż w nauce niema nigdy rozstrzygnięć ostatnich; zawsze mogą zostać odkryte nowe źródła, rzucające nowe światło na kwestję napozór ostatecznie zbadaną.

W sprawie Barbary niema mowy — przynajmniej obecnie — o jakichś decydujących twierdzeniach tembardziej, że korespondencja radziwiłłowska, służąca za główne źródło historyczne, nie jest dotychczas ogłoszona w całości, lecz znamy ją tylko w drobnych wyjątkach z prac Kolankowskiego i Pociechy.

Wiadomo nam, że jeden z wybitnych dermatologów krakowskich zajmuje się sprawą choroby królowej Barbary, może więc i z tej strony otrzymamy nowe ujęcie zagadnienia.

MAURICE DONNAY 4

Powrót z Jerozolimy

Sztuka w czterech aktach. — Przekład Marji Orzechowskiej

ZUZANNA. — Matka kazała mi panią przeprosić w swojem imieniu... poszła się przejść, odczuwając potrzebę ruchu.

HENRYKA. — Bardzo słusznie... proszę jej powiedzieć, że ją odwiedzę, gdy tylko przyjedzie do Paryża.

JERZY. — Spieszmy się... spieszmy się...

RAJMUND. — Przyniosłem pani kwiatki.

(Podaje jej dużą wiązankę.)

HENRYKA. — O dziękuję c., mój mały Rajmundzie. Jesteś bardzo milutki... dowidzenia niezadługo... dowidzenia Michale, niech pan pracuje pilnie.

MAŁGORZATA. — Proszę pani, pani zostawiła płaszcz.

ZUZANNA. — To zanieś go do powozu.

HENRYKA. — Mój kuferek! Mój kuferek!

JERZY. — Kazałem go znieść... jest w powozie.

HENRYKA. — A, to doskonale. Och, taki wyjazd, to najgłupsza historja!

(Wychodzi. Wszyscy opuścili salon, Michał i Zuzanna zostają sami.)

Scena 6.

Michał, Zuzanna.

(Zuzanna zasiada ze swoją robótką.)

ZUZANNA. — Nie będę ci przeszkadzała, szyjąc tutaj, przy tobie?

MICHAŁ. — Wcale nie. Dlaczego sądzisz, że miałabyś mi przeszkadzać?

ZUZANNA. — Sama nie wiem. (Milczenie.) — Jesteś zamyślony, Michale. Cóż... piękne dni się skończyły.

MICHAŁ. — Był dziś rano szron i barometr spada.

ZUZANNA. — I pani de Chouzé pojechała. Teraz będzie ci się dom wydawał bardzo pusty. Powinieneś był ją odprowadzić na kolej.

MICHAŁ. — To było zbyteczne, skoro ją Anna i Jerzy odwieźli.

ZUZANNA. — Wolałeś zostać ze mną... to miło z twojej strony. A pozatem, zawsze lepiej zaoszczędzić sobie kilku przykrych chwil. Moment, kiedy pociąg uwożący ukochaną osobę rusza, musi być rozdzierający... A jakże poszła ta ostatnia lekcja hebrajszczyzny, dobrze?

MICHAŁ. — Bardzo dobrze.

ZUZANNA. — Musisz być już bardzo mocny w tym języku... Powinienbyś zaczynać mówić.

MICHAŁ. — Och, nie zależy mi na hebrajskiej konwersacji, ani nawet na pisaniu w tym języku, chciałbym go tylko w razie potrzeby móc tłumaczyć.

ZUZANNA. — Oczywiście... to musi być niełatwe. (Śmieje się.) A co słychać z twoją pracą o religjach? Postępuje?

MICHAŁ. — Dotychczas jeszcze nic nie napisałem. W tej chwili robię plan pracy; jestem jeszcze w okresie przygotowawczym.

ZUZANNA. — Przygotowawczym, tak właśnie myślałam. Ach! Od pewnego czasu nie jestem już au courant twojej pracy, jak dawniej.

MICHAŁ. — Taka książka o religiach wcaleby cię nie interesowała.

ZUZANNA. — Dlaczego nie? Starałabym się zrozumieć. Przy usilnych staraniach, możebym do tego doszła. Nie wierzysz?

MICHAŁ. — O tak!

ZUZANNA. — Przyznaję, że nie jestem taką intelektualistką, jak pani de Chouzé. Ona ma szczęście; uważasz, że jest godna, by cię rozumieć. Wtajemniczasz ja w swoje dzieła; ona sie niemi interesuje... zapala! Ja jestem tylko niepozornym nieukiem, uczciwą, prozaiczną kobietą, istotą upośledzoną.

MICHAŁ. — Nie chodzi tu ani o inteligencję, ani o zdolności, chodzi o wiadomości. Jedno z drugiem niema nic wspólnego.

ZUZANNA. — A w dziedzinie wiadomości ona jest uniwersalna.

MICHAŁ. — Do czego zmierzasz? Dlaczego to wszystko mówisz? Potrzebuję hebrajskiego, ona go posiada, a ja korzystam z tego.

ZUZANNA. — Nie zawracaj mi głowy, hebrajszczyzna jest tylko pretekstem. Niedalej jak przed chwilą znalazła sposób, by być z tobą sam na sam, aż do ostatniej chwili. A forma, w jakiej oddaliła nas wszystkich na godzinę przed odjazdem pod pozorem tłumaczenia poematów jakiegoś rabina, nie wydaje mi się zbyt katolicką. Oto, co można bez przesady stwierdzić. Bo, ostatecznie osoba, która spędziła u kogoś trzy tygodnie, może śmiało poświęcić gospodarstwu ostatni dzień swego pobytu, zwłaszcza, jeżeli są kobiety w jej wieku, lub coś około tego, z któremi może rozmawiać. Przypuśćmy, że rozmowa z nami nie należy do najciekawszych; ale pani de Chouzé powinna była zrobić to poświęcenie. Ach! Być może, że posiada wysokie wykształcenie, ale napewno zamało wychowania. Nie ja jedna zrobiłam to spostrzeżenie: dowodem tego, że twoja matka uznała ten proceder za bardzo niestosowny i dlatego poszła na spacer. I dobrze zrobiła, miałam ochotę pójść za jej przykładem.

MICHAŁ (nieco zniecierpliwiony). — Trzeba było pójść.

ZUZANNA. — Jesteś uprzejmy!

MICHAŁ. — Nie, ale doprawdy przypisujesz zawielkie znaczenie drobnostkom.

ZUZANNA. — Nie, nie, to nie są rzeczy bez znaczenia. Całkiem widocznie znajdujesz wybitną przyjemność w przebywaniu w jej towarzystwie... co zresztą jest wzajemne. Byliście ciągle razem, nie rozstawaliście się poprostu.

MICHAŁ. — Znajduję wielką przyjemność w rozmawianiu z nią, przyznaję; jest bezsprzecznie bardzo inteligentna... ma interesującą umysłowość, jest dowcipna...

ZUZANNA. — Tak, wie dużo; to przedewszystkiem zasługa dobrej pamięci.

MICHAŁ. — Pozatem, będąc wychowaną w środowisku, którego nie znam, a raczej znam bardzo mało, nauczyła mnie o swoich współwyznawcach wielu rzeczy, o których nie miałem pojęcia.

ZUZANNA. — Nauczy cię więcej.

MICHAŁ. — Dla mnie to okno, otwarte na świat izraelicki.

ZUZANNA. — Małe okienko.. szparka Judaszowa. (Michał wzrusza ramionami.) — O przepraszam cię. Wiem, że nie lubisz takich żartów.. Wreszcie, pojechała!

MICHAŁ. — Widzę, że się całkiem niepotrzebnie przejmujesz.

ZUZANNA. — Och, wcale się nie przejmuję. Chyba zrobisz mi tę łaskę, mam nadzieję i uwierzysz, że nie jestem zazdrosna o panią de Chouzé... ale nie będę ukrywała przed tobą, że jej postępowanie odnośnie do ciebie, wydaje mi się szczególnem. Otóż od dłuższego czasu zabiega o twoje względy, a ja obserwuję jej gorliwe usiłowania. Nigdy ci o tem nie wspominałam i jeżeli to czynię dzisiaj, to dlatego, ponieważ konstatuję, że ta historja zaczyna przybierać niepokojące kształty. A więc ostrzegam: jeżeli ci na mnie zależy, to miej się na baczności! Jestem z gatunku kobiet, co nie przebaczają. To wszystko.

MICHAŁ. — Ty nie wiesz, ty nie możesz wiedzieć, do jakiego stopnia to wszystko jest zbyteczne.

ZUZANNA. — Tem lepiej!

MICHAŁ. — Twoje przewidzenia nigdy się nie staną rzeczywistością.

ZUZANNA. — Tem lepiej! W każdym razie powiedziałam ci, co uważałam za potrzebne; teraz, przestańmy już mówić o tej kochanej, milej pani de Chouzé. (Podchodzi do stołu i spostrzega papiery, pozostawione przez Henrykę.) — Czy to te sławne poematy, które dla ciebie tłumaczyła?

MICHAŁ. — Tak.

ZUZANNA (przebiegając wzrokiem pismo.) — Ależ rozumiem bardzo dobrze, nie wydaje mi się to trudne; czyżbym była nieświadomą siebie intelektualistką? To Żyd, rozpaczający nad niedolą swojego narodu, prawda?

MICHAŁ. — Tak, to powinno być coś takiego.

ZUZANNA. — Jakto: powinno być? Sądziłam, że czytaliście to przed chwilą? Już zapomniałeś?... widać myślałeś o czem innem, byłeś roztargniony. (Spostrzega torebkę Henryki.) — Patrzajcie! I ona też była roztargniona... zapomniała torebkę. To zresztą do niej podobne.

MICHAŁ (udając największy spokój). — Może to nie jej torebka?

ZUZANNA. — Czyjaż chcesz, żeby była?

MICHAŁ. — Czy ja wiem, pani Sonchamp.

ZUZANNA. — Matka Sonchamp nie posiada tak eleganckiej torebki... nie, to napewno Henryki, poznaję ją... o! Monogram.

MICHAŁ. — To daj mi ją... zapakuję i poślę.

ZUZANNA. — Dlaczego mówisz to takim zdławionym głosem?

MICHAŁ. — Wcale nie.

ZUZANNA. — Sama ją odeślę... musi w niej być ładny porządeczek, z pewnością bardzo interesujący.

MICHAŁ. — Nie otworzysz jej. Nie masz prawa.

ZUZANNA. — Masz powody, dla których nie powinnam jej otworzyć?

MICHAŁ (opanowując się). — Najmniejszych... ale to niedyskrecja, a conajmniej nie correct.

ZUZANNA. — Sądzę, że jeżeli ją w ten sposób zostawia, to widocznie nie zawiera żadnych tajemnic.

(Otwiera torebkę.)

MICHAŁ (z rezygnacją). — Ostatecznie, jeśli ci na tem zależy...

ZUZANNA. — Tak jak przypuszczałam... chusteczka, puder, notesik... Ach! i listy... ale tych nie przeczytam... z wyjątkiem jednakże tego oto, który wydaje się być pisany przez ciebie.

MICHAŁ. — Zuzanno! Zuzanno! Na miłość Boską! Nie czytaj.

ZUZANNA. — A!

MICHAŁ. — Oddaj mi ten list...

ZUZANNA. — Nie.

MICHAŁ. — Daj mi go.

(Chce jej go wyrwać.)

ZUZANNA (uwalniając się). — Ach! Zostaw, niech przeczytam. Przedewszystkiem, to ci pozwoli namyślić się, co masz powiedzieć, przygotować kłamstwa, któremi mnie będziesz chciał oszukać.

MICHAŁ (półgłosem). — Stało się! Sama chciałaś.

ZUZANNA (przebiegając wzrokiem list). — „*Moja droga, najmilsza, moja Judyto ukochana, myślę o wszystkiem coś mi powiedziała w ciągu dzisiejszego dnia, jaki cudny był ten dzień razem spędzony! Ostatni, niestety! Nad brzegami tej Loiry, w której się przegląda to niebo, jasne, jak Twoje oczy. Uwielbiam Twój umysł męski i kobiecy jednocześnie. Z Tobą jedną mówi się jak z przyjacielem, Ty mój kochany, mały filozofie... Ale Ty jutro odjeżdżasz, ja zaś znowu powracam do nudy małżeńskiego życia... Smutek kochanków jest we mnie... Na Twych wargach gorąco... długo... Michał*". — To bardzo piękne.

MICHAŁ. — Dużo się dowiedziałaś.

ZUZANNA. — O tak! Możesz mi wierzyć. W każdym razie mam teraz pewność, więc co myśleć...

MICHAŁ. — O czem?

ZUZANNA. — O twojej lojalności, twoich uczuciach, twojem przywiązaniu, a także o rodzaju stosunku, który was łączy. Teraz już wiem, jakiej natury okienko otwiera przed tobą na świat swojej rasy jak twierdzisz.

MICHAŁ. — A więc sądzisz, że jest moją kochanką?

ZUZANNA. — Jestem tego pewna.

MICHAŁ. — Przysięgam, że nie.

ZUZANNA. — Och! Och! Miejże choć tyle wstydu, by mi nie opowiadać podobnych bredni. Nie jestem, mimo wszystko, idjotką; pokaż komukolwiek ten list, a powie, że adresatka jest twoja kochanką.

MICHAŁ. — A jednak mówię prawdę... dowodem tego, że pozwoliłem ci otworzyć ten list.

ZUZANNA. — Do djabła! Nie mogłeś uczynić nic innego.

MICHAŁ. — Mogłem ci go wyrwać z ręki... podrzeć.

ZUZANNA. — Ach, byłbyś dobrze zrobił!

MICHAŁ. — Nie, bo wtedy mogłabyś przypuszczać najgorsze.

ZUZANNA. — Nie mogłabym myśleć już nic gorszego, niż myślę.

MICHAŁ — Wolałem jednak, byś przeczytała ten list do samego końca i żądam, byś wskazała w nim dowód, że pani de Chouzé jest moją kochanką.

ZUZANNA. — Och, milcz! Milcz! Jakto, więc jest kobieta, z którą spędzałeś sam na sam całe dnie, od rana do wieczora, a teraz się pokazuje, że i tego było jeszcze zamało... że odczuwałeś potrzebę pisywania do niej... i to jakiemi wyrazami! Nazywasz ją Judytą!... Judyta — zapewne ona cię prosiła, byś ją nazywał imieniem, którem nie zwie jej nikt inny... jesteście na ty... mówisz jej ty, a list kończysz na jej ustach, długo... gorąco. Jeśli to tutaj nie jest językiem kochanków, to nie wiem, czego trzeba więcej. Dotychczas mogłam powątpiewać, odsuwać od siebie tę potworność; teraz jednak musiałabym być ślepą, słyszysz, ślepą, by sobie jasno nie zdawać sprawy. Jesteś nikczemnikiem i tchórzem, nie masz nawet odwagi, by mi powiedzieć prawdę.

MICHAŁ. — Ależ powiedziałem. Judyta... Henryka... pani de Chouzé nie jest moją kochanką, przysięgam ci na nasze dzieci. Wszelkie pozory są przeciw mnie, przyznaję. Czepiasz się szczegółów, oznak czysto zewnętrznych... A więc tak jest, nazywam ją Judytą, zwano ją tak, gdy była panną, nic nie wymyśliłem... Mówię jej ty, czegóż to dowodzi? Z przyjacielem jest się na ty.

ZUZANNA. — Tak, z przyjacielem.

MICHAŁ. — Trzeba jednak koniecznie, byś zrozumiała, że mężczyzna może sobie upodobać towarzystwo kobiety, może go potrzebować, tak jest potrzebować i że między nimi może się wytworzyć obcowanie duchowe, wspólność intelektu, powinowactwo przekonań bez tego, by...

(C. d. n.)

Franciszek Liszt

Już obecnie cały naród węgierski czyni przygotowania celem godnego uczczenia przypadającej w roku 1936 pięćdziesiątej rocznicy śmierci ich największego muzyka i kompozytora narodowego, Franciszka Liszta.



Franciszek Liszt, według portretu Barabasza.

Uroczystości te zakrojone są na wielką skalę, — godne wiernego syna narodu, który sławę swej ojczyzny rozniósł po całym świecie, a który już jako 11-letni chłopiec, przed wyjazdem zagranicę na studja, oświadczył publicznie na urządzonym w Budapeszcie koncercie, że uważać to sobie będzie za największe szczęście, jeśli zdoła swą sztuką dorzucić choć skromny listek do sławy swej ukochanej ojczyzny

„CUDOWNE DZIECKO"

Liszt podpada w całej pełni pod kategorję tzw. „cudownych dzieci". Urodzony 12 października 1811 w Doborjan, pochodził ze starej węgierskiej rodziny. Jeden z jego przodków, Jan Listius, zapisał się dobrze w pamięci swych rodaków: on bowiem pierwszy odważył się w roku 1569 użyć publicznie języka węgierskiego, przemawiając w parlamencie. Rodzina Lisztów związała swe losy z magnacką rodziną Esterhazych, u których zarówno dziadek jak i ojciec wielkiego muzyka pełnili funkcje administratorów ich rozległych włości.

Mały Franciszek od najwcześniejszej młodości zdradzał niezwykły talent i zamiłowanie do muzyki. Nasłuchał się jej też w domu do syta, ojciec jego bowiem Adam, grał dobrze na fortepianie i na flecie, a muzyka była jego jedyną namiętnością.

Toteż ani się zdziwił zbytnio, ani oburzył, kiedy mały chłopak zapytany przez ojca, czemby chciał zostać i do kogo pragnąłby być podobnym, — wskazał poprostu na portret Beethovena, stojący na fortepianie...

Zaczęła się tedy nauka, w której mały Franciszek robił zdumiewające postępy. Jako dziewięcioletni chłopiec daje swój pierwszy koncert w pałacu Esterhazych w Kismarton, przed audytorjum, złożonem z przedstawicieli magnaterji węgierskiej. Sukces był zupełny: cudowne dziecko obsypano podarunkami, wśród których wyróżniał się wspaniały strój narodowy węgierski, dar samego Esterhazego.

Czterech magnatów postanawia przyjść z pomocą rodzinie, która sama nie mogła zdobyć się na wysłanie chłopca na studja zagranicę. Ufundowali dla niego stypendjum w kwocie 600 florenów rocznie, zobowiązując się sumę tę wypłacać przez sześć lat z rzędu.

I oto Liszt znajduje się wkrótce w Wiedniu, jako uczeń słynnego Czernego. Wkrótce staje się ulubieńcem wiedeńskiej arystokracji, która go sobie formalnie rozrywa. W grudniu 1822 jedenastoletni chłopiec występuje po raz pierwszy z publicznym koncertem, za płatnemi biletami wstępu. Fama o tym koncercie, oraz o fenomenalnym talencie Liszta doszła do Beethovena, który na jeden z następnych jego koncertów przybył osobiście. Sala była nabita publicznością, ciekawą zobaczyć tytana muzyki i nową wschodzącą gwiazdę.

Po koncercie Beethoven podszedł do chłopca i publicznie go ucałował.

NA DRODZE SŁAWY

Odtąd otwiera się przed Lisztem droga sławy. Zaciasno mu już było we Wiedniu: jedzie wraz z ojcem do Paryża, by tam kontynuować studja w konserwatorjum prowadzonem przez mistrza Cherubiniego.

Koncerty urządzane w Paryżu i Londynie przyniosły mu olbrzymie powodzenie. Staje się bożyszczem Paryżan, a zwłaszcza Paryżanek, które pięknego młodzieńca o ognistem spojrzeniu nazywają „ósmym cudem świata".

Śmierć ojca, w roku 1827, zmieniła dotychczasowy beztroski tryb życia. Ale Liszt nie traci odwagi. Sprowadza do Paryża swą matkę, którą otacza wygodami i troskliwą opieką, — i zarabia na życie udzielaniem lekcyj muzyki. A napływ uczniów jest tak wielki, że nieraz pracować musi od ósmej rano do dziesiątej wieczór. Nie zaniedbuje jednak pracy nad sobą. Przysięga sobie, że musi dojść do szczytów doskonałości, do takiego mistrzostwa w grze na fortepianie, do jakiego doszedł jego przyjaciel i mistrz, Paganini, na skrzypcach.

Ma też nielada mistrzów i przyjaciół w domu pani George Sand, dokąd wprowadził go Alfred de Musset, — spotyka się z rówieśnikiem swym i serdecznym następnie przyjacielem, Chopinem.

Berlicz, Bellini, Rossini, Meyerbeer, Paganini, — oto wyjątkowo dobrane grono jego przyjaciół, powierników i mistrzów.

MARJA HR. D'AGAULT

Rok 1833 przynosi zasadniczą zmianę w życiu młodego Liszta. W zimie tego roku poznaje hrabinę d'Agoult, kobietę płytką, niesłychanie ambitną i zarozumiałą, która nie znalazła szczęścia w dotychczasowem swem pożyciu małżeńskiem, przy boku męża, starszego od niej o dwadzieścia lat.

Liszt miał poza sobą jedyną dotąd, młodzieńczą, a nieszczęśliwą miłość, — do swej uczenicy, młodziutkiej hrabianki Karoliny de Saint - Criq, miłość, na którą matka hrabianki patrzyła dość pobłażliwem okiem. Skończyła się ta niewinna idylla ze śmiercią hrabiny, — stary hr. de Saint - Criq bowiem zlikwidował szybko tę znajomość.

Obecnie zakochał się po raz drugi. Była to miłość płomienna, szalona: hr. d'Agoult porzuca męża i wyjeżdża z Lisztem do Szwajcarji, a następnie do Włoch. W ciągu paru lat następnych przychodzą na świat dzieci: Blondina, Cosima i Daniel. Wydatki rosną w przerażającem tempie, — na utrzymanie domu wydaje Liszt około 300 tysięcy franków rocznie. Toteż — zamiast oddać się w zupełności pracy kompozytorskiej, zmuszony jest produkować się na estradzie.

Podczas jednego z tych koncertów doszło do ciekawego incydentu: Liszt popisywał się niesłychaną biegłością palców, grając utwory bardzo trudne technicznie, ale bez większej wartości artystycznej. W audytorjum odezwały się głosy protestu: „nie przyszliśmy po-to, by słuchać ćwiczeń palcowych!" Liszt, nie tracąc fantazji zwraca się do publiczności z prośbą, by mu podano jaki temat do improwizacji. (Była to bowiem jedna z ulubionych jego form popisywania się przed audytorjum). Posypały się na to żartobliwe propozycje: ktoś domagał się improwizacji na temat... kolei żelaznej, ktoś inny proponuje jako temat pytanie... czy lepiej się żenić, czy zostać kawalerem. Zakrawało to już na farsę. Liszt zeszedł z estrady rozgoryczony.

W pamięci współczesnych pozostał też jeden z koncertów Liszta we Wiedniu, w styczniu 1839, urządzonych na rzecz węgierskich powodzian. Na koncercie tym grał Liszt kolejno na trzech fortepianach, na których popękały struny od brawurowych uderzeń mistrza.

OSTATNIE LATA.

Z końcem 1839 roku koncertuje Liszt w Budapeszcie, grając po raz pierwszy słynnego „marsza Rakoczego" we własnej transkrypcji. Entuzjazm rodaków doszedł do szczytu. Rzucono myśl wystawienia mu pomnika. Ale Liszt sprzeciwił się temu, prosząc, by sumę przeznaczoną na ten cel, obrócono na budowę Akademji Muzycznej w Budapeszcie, która też rzeczywiście wkrótce powstała.

Natomiast przyjął z wdzięcznością ofiarowaną mu przez miasto honorową szablę, wysadzaną drogiemi kamieniami. Szablą tą szczycił się zawsze, uważając ją niejako za symbol, a siebie za rycerza, niosącego na Zachód sławę i kulturę Węgier.

Od czasu rozstania się z hr. d'Agoult która przeniosła się w roku 1839 do Paryża, Liszt oddaje się pracy kompozytorskiej, a równocześnie jeździ z koncertami po całej Europie: Wiedeń, Lipsk Paryż, Petersburg, Weimar, Budapeszt, Kijów.

W tem ostatniem mieście zawiera znajomość z ks. Karoliną Wittgenstein, która porzuciła męża i pojechała za sławnym muzykiem do Rzymu. Początkowa gorąca miłość przerodziła się z czasem w serdeczną przyjaźń. Z biegiem lat umysł Liszta odwraca się od uciech tego świata. Genjalny muzyk komponuje wówczas swe oratoria „Chrystus" i „Święta Elżbieta", a dnia 25 kwietnia 1865 wstępuje do Zakonu Tercjarzy. Ojciec św., Pius IX, daje mu w Watykanie specjalny apartament, vis - a - vis słynnych „Stanze" Raffaella.

Ostatnie lata jego ruchliwego żywota upłynęły mu względnie spokojnie. Boleśnie dotknęła go w r. 1883 śmierć Wagnera, który — jak wiadomo — poślubił córkę mistrza, Cosimę, po jej rozwodzie z Bülowem.

Umarł 30 lipca 1886 roku w Bayreuth, dokąd — napół oślepły — pojechał, by usłyszeć „Parsifala".

Na kilka lat przed śmiercią spisał testament, mocą którego zapisał na rzecz Muzeum Narodowego w Budapeszcie swe najcenniejsze pamiątki: ową słynną szablę honorową, laskę ofiarowaną mu



Karykatura Liszta z jego słynną honorową szablą.

przez Piusa IX i szczerozłotą batutę, wysadzaną drogiemi kamieniami.

Testament ten dowodzi, że autor „Rapsodyj węgierskich" pozostał do końca życia wiernym i kochającym synem swej ojczyzny.

LISZT I CHOPIN

W młodzieńczych swych latach zaliczał się Liszt do bliskich przyjaciół Chopina, któremu też poświęcił piękną monografję. Ukazała się ona w roku 1852, wywołując dość rozbieżne sądy. Nie była to też monografja naukowa, — lecz raczej artystyczna, napisana przez jednego, wielkiego artystę o drugim. Dużo w niej prawdziwie artystycznej fantazji, dużo miłej nawet frazeologji, dużo szczegółów nieścisłych. Ale broszura ta miała ogromną wartość z tego względu, że Liszt pierwszy może, tak dobitnie podkreślił w niej specyficzny, narodowy charakter muzyki Chopina

Liszt, genjalny kompozytor, był niemniej świetnym odtwórcą dzieł innych kompozytorów, — zwłaszcza zaś Chopina, o którym w broszurze wspomnianej sam mówi, iż

„nieraz bywałem wykonawcą jego natchnień i to, — z chlubą powiedzieć mogę, — lubianym i wybranym przez niego, z własnych jego ust dowiadywałem się o szczegółach metody, jaką się posługiwał, przejąłem niejako za swoje myśli jego o sztuce i powierzane jej uczucia"...

Toteż praca Liszta o Chopinie, o którym zresztą mówi z niekłamanem uwielbieniem, jest pięknym hołdem, oddanym pamięci naszego muzyka. *(kr.)*

„Tęcza"

Bogatą treść zawiera ostatni numer „*Tęczy*" (październik 1935). Znajdujemy w nim następujące artykuły: Józefa Kisielewskiego *Scriptores catholici*, Kazimierza *Littina Bój* młodych, Tadeusza Zabłockiego *Cyrk proroka*, Wiktora Newida *Żydzi fabrykują dewocjonalja*, Jerzego Drobnika *Morze wyrzuca polskie pamiątki*, Edwarda Woronieckiego *Odwet Europy* itd.

Zofja Kossak - Szczucka ogłasza fragment *Krzyżowców*, Stanisław Szpotański *Cygański naszyjnik*, zaś Stanisław Wasylewski drukuje ciekawy artykuł pt. *Polowanie z udziałem Mickiewicza*. Jest to opis polowania odbytego w Łukowie, w powiecie obornickim w Wielkopolsce, r. 1840. Polowanie w lasach pp. Grabowskich prowadził Franciszek Mickiewicz, brat poety. Wasylewski podaje wyjątki z nieznanego utworu Antoniego Małeckiego, który brał udział w owem polowaniu i opisał je wierszem, wzorowanym na *Panu Tadeuszu*. Autor artykułu podkreśla wielki wpływ, jaki epopea Mickiewicza już wówczas wywierała na społeczeństwo polskie.

Treści numeru dopełniają *Przeglądy* (kulturalny, wydawniczy, religijny, społeczny i gospodarczy, naukowy, filmowy) oraz dział rozrywek (filatelistyka, grafologja)

Praskie migawki

Praga jest chyba jednem z najbardziej hałaśliwych miast Europy. Olbrzymie postępy motoryzacji obserwowane w Czechosłowacji, wyrażając się w około 250 tysiącach pojazdów mechanicznych na około 15 miljonów ludności, znajdują swój wyraz w ogromnym ruchu samochodowym na ulicach stolicy i wywołanym przezeń zgiełku. Szoferzy nie żałują bowiem sygnałów, wyprawiając harmider, zwracający uwagę zagranicznego turysty. Obcy przybysz pada zresztą zaraz na wstępie ofiarą praskich samochodów. Mowa o dorożkach samochodowych, które dzielą się tutaj na trzy kategorje: najdroższą, w której kurs kosztuje 4 korony, tańszą po trzy korony kurs i najtańszą po dwie korony. Nie mogłem zrozumieć skąd ta różnica, gdyż dorożki wszystkich trzech kategoryj nie różnią się między sobą prawie niczem. Oczywiście mieszkaniec Pragi nie da się „nabrać" i nie wsiądzie do dorożki czterolub trzy-koronowej. Takie „wpadunki" zdarzają się wyłącznie obcym.

Wśród spotykanych tutaj samochodów przeważają marki krajowe i modele małe. Są to przeważnie „Tatry", „Aero", „Praga" i „Skoda". Taki mały samochodzik dwuosobowy kalkuluje się na około 14 tysięcy koron, czyli mniej więcej 3 tysiące zł., co przy znanej zamożności czeskiego społeczeństwa nie jest wydatkiem dużym. Zanosi się na jeszcze wydatniejsze obniżenie ceny samochodów, a to w związku z zamiarem przystąpienia do fabrykacji samochodów znanej firmy czeskiej „Bata". Wypuszczenie na rynek pierwszego samochodu tej fabryki, do tej pory zajmującej się wyłącznie wyrobem obuwia, oczekiwane jest w najbliższych tygodniach.

Olbrzymi, jak wspomniałem ruch uliczny, panujący zwłaszcza w godzinach popołudniowych i przedwieczornych, regulują sprawnie dobroduszni i spokojni policjanci, nie gumową pałeczką, lecz rękami, przybranemi w białe rękawiczki i białe pokrowce, sięgające do łokcia. Są oni więc wybitnie „upośledzeni" n. p. w stosunku do policjantów angielskich. Skoro nie mają gumowych pałek jak tamci, czemże tłuką niesfornych demonstrantów przy rozpędzaniu. A może wogóle nie mają zwyczaju „walić".

Przejażdżka na przedmieścia Pragi tramwajem, autobusem czy taksówką jest bardzo pouczająca, gdyż daje naoczny obraz nasilenia ruchu budowlanego, który przez wielu jest uważany dzisiaj za „barometr" kryzysu. W Pradze buduje się wiele, mniej jednak niż w latach ubiegłych. Większość będących dzisiaj w toku budów to wielkie bloki żelbetowe, przeznaczone na pomieszczenie urzędów, lub warsztatów przemysłowych. Gorzej jest z budownictwem mieszkaniowem. Jest to konsekwencja nie tylko przesilenia gospodarczego, ale również ciekawej polityki rządu czechosłowackiego, który w ostatnich latach umiejętnie przeciwdziała tą drogą nadmiernemu przyrostowi mieszkańców stolicy, wychodząc z założenia, że urbanizacja w czasach obecnych jest zjawiskiem o ile nie szkodliwem, to conajmniej niepożądanem. Praga pod tym względem ma zupełnie odmienne aspiracje niż np. Warszawa.

Gdy mowa o kryzysie trudno pominąć tutejsze bezrobocie, którego kulisy są wcale ciekawe. Oficjalna statystyka wykazuje obecnie w Czechosłowacji około 220 tysięcy osób pozbawionych pracy i to tak pracowników fizycznych jak i umysłowych. Oprócz niej prowadzona jest druga statystyka osób pracy poszukujących, bez względu na to czy mieli poprzednio zajęcie czy też nie. Takich osób naliczono w Czechosłowacji 800 tysięcy. Trudno się dziwić. Któż dzisiaj nie chciał by zarobić choćby kilkadziesiąt koron miesięcznie. Tę drugą statystykę prowadzą związki zawodowe, przedewszystkiem socjalistyczne. Wcale nie z miłości do robotnika, ale poprostu dla interesu. Rozdziałem zapomóg, przyznawanych przez rząd bezrobotnym, zajmują się bowiem w Czechach nie urzędy, lecz organizacje polityczne, które potrącają z nich na własne cele dziesięć procent. Oczywiście, że w interesie tych „idealistów" jest wykazanie jak największej cyfry bezrobotnych. Stąd rozbieżność między statystyką urzędową, a statystyką politycznych geszefciarzy.

Nawiasem mówiąc czeskie partje polityczne są bardzo zamożne. Np. tacy agrarjusze posiadają w Pradze około 30 kamienic, będących własnością partji. Socjaliści są biedniejsi i posiadają własną drukarnię i kamienicę. Nie wiem tylko czy to za owe „zaoszczędzone" kosztem bezrobotnych dziesięć procent.

Sprawa dotychczasowego systemu wypłaty zapomóg bezrobotnym przez organizacje polityczne, trudne do kontroli, będzie powodem ostrej walki na terenie parlamentu w czasie nadchodzącej jesiennej sesji budżetowej (Rok budżetowy rozpoczyna się w Czechosłowacji 1. stycznia).

Celem ataku będą przedewszystkiem socjaliści, atakującymi agrarjusze i stronnictwa mieszczańskie, które przygotowały sobie obfity materjał, wykazujący nadużycia przy rodziale zapomóg.

Po tej małej dygresji politycznej, wróćmy jednak do samej Pragi. Śródmieście stolicy Czechosłowacji przechodzi w ostatnich czasach przeobrażenie. Myślę przedewszystkiem o wspaniałej Vaclavskie namesti, pryncypalnej ulicy Pragi, szerokiej, równiutko wyasfaltowanej, otoczonej reprezentacyjnemi gmachami, na którą z pod stóp czeskiego muzeum narodowego z dumą spogląda spiżowy św. Wacław. Coraz więcej tutaj sklepów, coraz więcej kawiarń. Już dzisiaj parter kamienic na Vaclavskie namesti, to jakby jedna wielka witryna sklepowa, gustownie zresztą i bogato urządzona. Na pierwszem piętrze kawiarnie, a wyżej, gdzie do niedawna były mieszkania, dzisiaj usadawiają się biura, wypierając dotychczasowych lokatorów na przedmieścia. Ponieważ parter domów na tej ulicy nie pomieściłby tylu sklepów, co krok trafiamy na długie pasaże. Wśród sklepów zwraca uwagę duża ilość przedsiębiorstw gastronomicznych, które przeważnie są zmechanizowane. Kawiarnie wielkie, przestronne i dobrze wentylowane, mają jedną wielką zaletę: nie trzeba rozbijać się w nich za gazetami, podobnie zresztą jak w Wiedniu. Właściciele uważają bowiem za stosowne abonować po kilka egzemplarzy jednego pisma, toteż gość nie usłyszy odpowiedzi kelnera, że dana gazeta jest „zajęta". — Wogóle czytelnictwo w Czechosłowacji stoi na bardzo wysokim poziomie. Np. wielki koncern A-Zet drukuje tutaj dziennie około 1 miljona swych wydawnictw. Cyfra naprawdę imponująca.

* * *

Obok tej zgiełkliwej, na szeroką europejską miarę zakrojonej Pragi, turysta szuka pamiątek dawnej świetności. Odbywa więc wędrówkę na Hradczyn, by przyglądnąć się majestatycznej katedrze i rezydenci prezydenta republiki. Ogląda stary ratusz, wspaniały most Karola, piękne Muzeum Narodowe, kończąc zazwyczaj wędrówkę na wąskich malowniczych uliczkach starej Pragi.

AK.

—ι—

Inwazje Germanów

Leon Daudet, słynny pamflecista francuski, jeden z przywódców grupy Action Francaise umieścił w tygodniku Candide artykuł o interesującej książce Ferdynanda Lot'a pt. „Inwazje Germanów".

Ferdynand Lot jest umysłem żywym i mocnym, historykiem i wizjonerem jednocześnie. Właściwości te stawiają go w rzędzie historyków tej klasy co Fustel Kurth, Jullian. Jest autorem wielu prac naukowych, między innemi prześlicznej książki pt.: „Koniec świata starożytnego i początek średniowiecza". Ostatnia praca, zatytułowana „Inwazje Germanów" jest studjum o wzajemnem przenikaniu świata barbarzyńskiego i świata rzymskiego, posiadającem wszystkie wartości tego wybitnego pisarza. Prócz tego, jest książką wpełni aktualną, bo prócz „postępu" artylerji na lądzie, morzu i w powietrzu, stosunki pomiędzy Galją a Germanją niewiele się zmieniły od pierwszych wieków ery chrześcijańskiej. Z drugiej zaś strony, obecny ruch hitlerowski a raczej Rewolucja hitlerowska dalszy ciąg Rewolucji luterańskiej — opiera się w dużej części na prawodastwie frankońskiem. Autor nie szczędzi dowodów, aby nas o tem przekonać. Bo prawdziwy historyk musi umieć patrzeć równocześnie zwysoka i zbliska. Ferdynand Lot posiada też w wysokim stopniu dar oddania ruchu i plastyki, którego częstokroć brak skrupulatnym uczonym.

„Inwazje Germanów" składają się z dwóch części: 1) Germanowie i Celtowie. Pochodzenie i dzieje ludów germańskich aż do wkroczenia Gotów na ziemię rzymską. 2) Zbliżenie się zdobywców najeźdźców z ludami romańskiemi i gallo-romańskiemi. Frankowie i Germanowie ulegali podwójnemu naciskowi posuwających się w Europie środkowej Skandynawów, oraz z drugiej strony Hunnów i Mongołów, pchanych łakomstwem właściwem nomadom, a może też impulsem magnetycznym przypisywanym rotacji kuli ziemskiej. Jest to już jednak dziedzina przypuszczeń, której autor nie poświęca zbyt wiele miejsca, trzymając się ściśle dziedziny faktów.

Lot zaczyna od uwagi, że: „strefa, oblewana wodami Bałtyku, jest kolebką rasy, odznaczającej się charakterystycznemi cechami zewnętrznemi". Typowym jej przedstawicielem jest człowiek wysokiego wzrostu, blondyn o jasnej skórze, niebieskich oczach i podługowatej głowie. Aż do epoki nowożytnej — okresu kolosalnej ekspansji rasy niemieckiej typ ten pozostawał zupełnie nieznany w południowej Europie. Fakt, że Germanowie pozostawali tak długo nieznani ludom śródziemnomorskim, jak ludzie księżyca, — mieszkańcom ziemi, tłumaczy autor okoliczność, że pomiędzy Germanami a ludami grecko-łacińskiemi wznosiła się zapora w postaci świata celtyckiego — „zwartej masy, pokrywającej całą Europę". Potomkami tego świata celtyckiego, są dzisiaj mieszkańcy francuskiej Bretanji i Irlandji.

* * *

Od czasów Augusta, zachowanie się Rzymian wobec najeźdźców germańskich jest zmienne. Historyk niemiecki Mommsen, nazywa je od klęski Varusa zagadkowem. „Varusie, zwróć mi moje legjony". Zachowanie to waha się między defensywą, niebezpieczną — bo, jak słusznie zauważa Lot, defensywa nigdy nie powstrzymała inwazji — a skuteczniejszą od niej — ofensywą. Na poparcie swojej tezy przytacza autor fakt z historji Chin, które poświęciły pięć wieków na wybudowanie muru (od roku 214 przed Chrystusem, do 250-go roku po Chrystusie) mającego ich bronić od barbarzyńskich Mongołów, Tatarów i Tunguzów, który jednak „nie powstrzymał ani jednej inwazji". Trajan zrozumiał błąd polityki defensywy i podbił Dacje. Jego następca Hadrjan powrócił do defensywy, co kosztowało Marka-Aureljusza poświęcenie całego życia na zmaganie się z Germanami, którzy przez sto lat nie robili żadnych wypadków. Wbrew twierdzeniom Paul Valery który nie uznaje lekcyj, jakie daje historja, mam wrażenie, że ta jest wiele mówiąca.

Aż do przybycia Hunnów do Europy i zainstalowania się Gotów na terenie cesarstwa rzymskiego, napady germańskie powtarzały się często ułatwiane brakiem dyscypliny, jaki zapanował w wojskach rzymskich, strażujących wzdłuż Renu.

Zachód upadnie pod naciskiem barbarzyńców, Wandalów, Burgundczyków, Wizygotów. Tym razem jest to koniec panowania rzymskiego. Kultura starożytna przetrwała jednak, prawdopodobnie dzięki klasztorom. Dopiero za panowania Ludwika Świętego, ukazują się pierwsze listy królewskie pisane po francusku a nie po łacinie. A jeszcze później zaczną używać cesarze germańscy języka niemieckiego w tekstach państwowych, które również pisane były po łacinie.

* * *

Druga część książki Ferdynanda Lot'a zaczyna się od ciekawej uwagi, że królowie germańscy zatrzymali z administracji rzymskiej wszystko to, co mogło im być użyteczne i że nie robili żadnej różnicy politycznej pomiędzy poddanymi, bez względu na ich narodowość - germańską czy rzymską.

Inaczej jest u Gotów, Burgundczyków, Franków i Langobardów, którzy stosowali względem ludności podbitej inne prawo. „Zasada indywidualizowania prawa przetrwa przez długie wieki". Prawo rzymskie utrzymuje się, ale spada do poziomu prawa zwyczajowego. Prawo germańskie wprowadza jako karę za przestępstwa i zbrodnie t. zw. „wergeld", czyli odszkodowanie dla skrzywdzonego, lub jego rodziny.

Różnica religji stanowi też silną przegrodę pomiędzy Germanami a Rzymianami. Ostrogoci, Wizygosi i Wandalowie są chrześcijanami, ale wyznania arjańskiego. Frankowie i Alamanowie są poganami i to zatwardziałymi poganami. Mimo wszystko pomieszanie praw, wzajemne przenikanie i zlewanie się postępuje. Frankowie, osiedleni w kilku grupach między ludami gallo-romańskiemi stapiają się z niemi, zwłaszcza po przyjęciu przez Klodwiga wiary katolickiej, które usuwa starcia na tle religijnem. Wspólna służba w wojsku dopełnia zjednoczenia. Jeszcze jeden ważny punkt: prawo rzymskie zakazywało zawierania małżeństw pomiedzy Rzymianami a barbarzyńcami. Otóż w Galji zakaz ten nigdy nie był respektowany. Małżeństwa pomiędzy Frankami a Rzymianami i Gallo-rzymianami były na porządku dziennym, przyczem żona przybierała nazwisko męża. Popierajac stanowisko Fustel'a de Coulanges w jego książce „O monarchii francuskiej", Belg. Godefroy Kurth pisze w swoiem „Studjum o Frankach": „Nie można odróżnić barbarzyńskich Franków od tubylców gallo-romańskich... Od pierwszej chwili harmonja pomiędzy barbarzyńcami a Gallo-rzymianami była kompletna... W królestwie frankońskiem fuzja była tak kompletna i ścisła, że najbardziej szczegółowa analiza nie może rozróżnić elementów."

Tem samem upada teza „wojny socjalnej", wedle której Francja miała być podzielona na dwie kasty: uciśnionych i wywłaszczonych potomków Rzymian gallijskich, czyli proletarjat i — potomków Franków, panów i gnębicieli. Wedle tej tezy, rewolucja tłumaczyłaby się spóźnionem, etnicznem powstaniem ciemiężonych, przeciwko ciemięzcom. Wyznawcami tej tezy są między innymi Henri Martin i Quinet oraz ich zwolennicy aż po Monod'a.

* * *

Nie mogłem — kończy Leon Daudet — dać w tych ciasnych ramach wyczerpującej analizy tej pracy, pełnej głębokich spostrzeżeń, z których niejedno mogłoby być oczywiście, punktem spornym. Książka Ferdynanda Lot'a jest niezwykle interesująca, aktualna i oparta na niezliczonej ilości tekstów mało, albo wcale nieznanych. Zasługuje na jak najszersze rozpowszechnienie bo niema nic ważniejszego dla życia narodu, jak poznanie swojej historji, prawdziwej historji. „Inwazje Germanów" będą napewno komentowane i dyskutowane w Niemczech.

M. O

Tragiczne przeżycia rotmistrza Jego Królewskiej Mości

Księgi akt grodzkich województwa ruskiego z pierwszej połowy XVII w. dostarczają sporo materjału ilustrującego ówczesne życie. Scharakteryzował je świetnie w przedmowie swego znakomitego dzieła: „Prawem i lewem" Władysław Łoziński, stwierdzając, że ówczesny świat bez ładu i bez miłosierdzia wytworzył takie stosunki, iż krew w nim była tańsza od wina, człowiek tańszy od konia. Łatwo było podówczas zabić, trudno nie być zabitym, bo kogo nie zabił Tatarzyn, tego zabił opryszek, kogo nie zabił opryszek, zabił go sąsiad. A do tego wstrząsającego łańcucha możnaby jeszcze dodać dalsze ogniwo: kogo nie zabił sąsiad, tego zabił własny brat, jak o tem świadczą tragiczne przeżycia Stanisława Łahodowskiego, rotmistrza Jego Królewskiej Mości.

Trzysta lat zgórą minęło od chwili, gdy na przedmieściu halickiem we Lwowie z rąk braci Aleksandra i Marka Łahodowskich, kasztelaniców wołyńskich, zginął wśród okrutnych i nieopisanych mąk brat ich najstarszy, Stanisław, rotmistrz Jego Królewskiej Mości Zygmunta III. Gdy z perspektywy trzystu lat patrzymy na tę zbrodnię, przez braci na bracie dokonaną, wyobrazić sobie wprost nie możemy, jak mogli sprawcy posunąć się do takiego stopnia bezdennej nienawiści, obłędnej jakiejś zaciekłości i potwornego wprost zacietrzewienia, którem przejęci, dysząc nieposkromioną żądzą zemsty, wśród nieopisanych mąk i katuszy spowodowali śmierć brata, nad którego zwłokami pastwili się jeszcze w nieludzki sposób.

Czwarty brat, Jędrzej z Łahodowa, wnosząc skargę przeciw braciom — sprawcom Kainowej zbrodni, z żalem i płaczem skarżył się i protestował. — „Krwie własnej — mówił przed sądem — zapomniawszy okrucieństwem i morderstwem niesłychanem nad własną krwią swoją niby zwierzęta lub bestje, znieważywszy prawo wszelakie i statuta koronne podeptawszy, nie pomnąc na honor domu swego, na srogość prawa, krwią ręce swe mazali, nie mając żadnej przyczyny do niego, który napomnieniem ojcowskiem do dobrego ich przywodził"...

Wymienieni Łahodowscy, wraz z piątym jeszcze bratem Jerzym, byli synami Jana z Łahodowa, kasztelana wołyńskiego. Najstarszy z tych synów, Stanisław, przedstawiał jakby typ błędnego rycerza, który tułał się po świecie w obcych szeregach, przebywał czas jakiś w zastępach Lisowczyków, a powróciwszy w służbę polską, odznaczył się wybitnie w krwawej rozprawie z Tatarami pod Martynowem w r. 1624, poczem objął po ojcu majątek Zatorze na Wołyniu, gdy pozostali bracia rezydowali w Winnikach pod Lwowem. W tym czasie wywiązały się pomiędzy nim, a dwoma młodszymi jego braćmi, Aleksandrem i Markiem jakieś głębsze nieporozumienia, których podłoża nie znamy. Prawdopodobnie powstały one na tle sporu o majątek po ojcu, czego jednak ze starych ksiąg ustalić wprost niepodobna. Podczas, gdy Jędrzej Łahodowski wystawia bratu Stanisławowi jak najlepsze świadectwo, dwaj inni bracia — bratobójcy, Aleksander i Marek oskarżają go o napad, dokonany w dniu 26 kwietnia 1626 na ich majętność w Winnikach, zresztą mało istotny, gdyż poza „wyzywaniami" i pogróżkami obaj bracia żadnym innym zarzutem nie mogli obarczyć Stanisława.

Niebawem obaj bracia wzięli na Stanisławie krwawy odwet. Terenem tragicznego zajścia było przedmieście halickie, rozpościerające się szeroko od bramy miejskiej tej samej nazwy i przedstawiające obraz nadzwyczaj urozmaicony. Na rozległej stosunkowo przestrzeni zwracały na przedmieściu uwagę pałacyki magnatów, wille bogatych mieszczan, schludne dworki szlacheckie, domki zamożniejszych przedmieszczan, a obok nich chałupy uboższych rzemieślników i zagrodników, z gliny budowane i zmiatane z powierzchni lada większym wylewem Pełtwi, która je z ziemią równała i wezbranemi nurtami unosiła.

W jednym z dworków, stanowiącym własność znanego w mieście chirurga Tomasza Galatowicza, który tu miał swój dworek i zginął niewinnie w ośm lat później pod kijami i szablami hajduków kapitana Jana Maryana, — stanął na kwaterze rotmistrz Stanisław Łahodowski. Przyprowadził właśnie za listem przypowiednim do Lwowa rotę husarską, którą odesłał hetmanowi, a sam pozostał na przedmieściu celem poratowania zdrowia. Obaj zawistni i jakąś dziką żądzą odwetu przejęci bracia młodsi, Aleksander i Marek, otoczyli go ścisłym wywiadem, a gdy pewnego razu w towarzystwie dwu pachołków powracał od znanego podówczas lekarza, Erazma Syxta, postanowili ostatecznie z nim się załatwić. Zajechali tedy obaj Łahodowscy wraz z powinowatym Aleksandrem Siemińskim i zastępem czeladzi w sile około 60 pieszych i konnych, uzbrojonych od stóp do głów i zaraz — „sposobem nieprzyjacielskim — jak mówią pożółkłe karty księgi sądowej — gwałtem i tumultem wszelkim, jedni z rusznicami i łukami, drudzy z brońmi dobytemi wpadli do domu".

Obaj Łahodowscy wtargnęli pierwsi do izby i rzucili w stronę zaatakowanego tak niespodziewanie brata te słowa:

— „A tuś niecnoto, niebracie, wiesz, coś nam winien!" — A po chwili dorzucili straszną groźbę:

— „Już więcej żyć nie będziesz!"...

Stanisław, wobec takiej zapowiedzi, stanął jak wryty i temi słowy usiłował ostrza, skierowane przeciw sobie odwrócić:

— „Żem ja — mówił — wam nic złego nie żdziałał, ale że będąc z was starszym i właśnie na miejscu ojcowskiem, jak bracię was miłował, szanował i do dobrego pobudzał, prosząc, abyście furje te i złe serca na stronę odłożyli i aby na Pana Boga i na siarożytność domu swego się oglądali, abyście w pośmiech u ludzi nie podawali i od niezbożnego uczynku ręce swe wstrzymali i onych krwią nie mazali.

I zaszła podówczas chwilowa zmiana w tragicznie dla Stanisława zapowiadającej się sytuacji. Zaledwie padły jego ostatnie słowa, bracia nagle opuścili izbę i wyszli do podsienia gospody. Czy tknęło nimi w tej chwili sumienie wobec rozważnych słów starszego brata, dość, że poczęli się przez mgnienie naradzać, okrutna jednak żądza zemsty wzięła — widać — u nich przewagę nad braterskiem uczuciem, to też zawrócili szybko z podsienia do izby, aby Kainowej dopuścić się zbrodni.

Pobiegli tedy do Stanisława i „ztyłu, zdradliwie z trzech pistoletów go postrzelili". Trafiony trzema kulami padł ciężko ranny rotmistrz Stanisław Łahodowski, a bratobójcy czempręd̨zej oddalili się w mniemaniu, że już rozstał się z tym światem. Tymczasem ciężko ranny po odzyskaniu przytomności opatrzony został przez chirurga Tomasza, właściciela gospody, który pocieszał go, że żyć będzie, gdyż rany nie są śmiertelne. Gdy Stanisław Łahodowski prosił o księdza, wyprawiony w tej chwili goniec sprowadził ks. Mateusza od fary, przybyli również i ks. Bernardyni.

Śpieszących do ciężko rannego z pociechą religijną księży zauważyli obaj bracia Łahodowscy, a wnioskując z tego, że ofiara ich zbrodniczego czynu pozostaje jeszcze przy życiu, zawrócili z drogi, by go dobić. Poprzez tłum ludzi, zebrany przed gospodą, przedostali się szybko obaj Łahodowscy do zamkniętych drzwi, które rozbili, poczem wpadli do izby wśród okrzyków:

— „A jeszcze żyje ten niecnota!"

A gdy w tej chwili spowiednik usiłował zasłonić sobą siedzącego na krześle Stanisława, jeden z bratobójców krzyknął do niego:

— „Wara, wara popie i ty zginiesz przy nim!"...

Padły trzy strzały z rąk obu braci-zbirów, a gdy Stanisław zemdlony z krzesła zwalił się na podłogę — „siekli sztychami, serca macając, przebijali i ręce na pokazanie większego tyraństwa jemu poodcinali i stamtąd tak okrutnie niezbożnie i niemiłosiernie zamordowanego, jako jakie bestje w gniewie niepohamowane takiem brzydkiem okrucieństwem nie nasycając się", zawlekli trupa po schodach aż na drogę i rzucili go na wóz wraz z dwoma czeladzi, poprzednio już zamordowanymi.

Po dokonaniu zbrodniczego czynu na osobie najstarszego brata, obaj bratobójcy zabrali szkatułę z pieniądzmi, skrzynię ze srebrem szaty, kobierce, broń, rynsztunek, a nawet konie. Opuszczając miejsce okrutnego zajścia, wykrzykiwali po drodze:

— „Zażywał ten niecnota naszego i brał nasze, my też po nim będziem brać i zażywać jego".

Orszak napastników ruszył szybko w kierunku Winnik, gdzie w tamtejszym dworze rezydowali obaj bratobójcy. — W pośrodku niesamowitego orszaku posuwał się wóz, na którym złożone były trzy trupy. Gdy orszak posuwał się koło kościoła OO. Bernardynów w kierunku traktu Łyczakowskiego, z wozu wysunęła się ręka Łahodowskiego, co widząc jeden z bratobójców krzyknął:

— „A jeszcze dyszesz zdrajco i grozisz?!" — przyczem strzelił w głowę trupa z pistoletu, a drugi tymczasem odciął zwisającą z wozu rękę...

Po przybyciu do Winnik Łahodowscy pastwili się dalej nad zwłokami brata i zawołali jakiegoś „oprawcę" i kazali mu rozpruć zwłoki, wyjąć wnętrzności i serce „aby upatrować, jeśli w nie który nie trafił", — a następnie „serce w... bane nie wiedzieć gdzie podzieli". Obu pomordowanych z czeladzi brata kazali spalić w sadzie na stosie, a prochy ich porozrzucać, wkońcu ciało Stanisława „sprośnie i mizernie w kolasę wrzucili i nie wiedzieć dokąd wysłali". Bezpośrednio po dokonaniu zbrodni najechali majątek zabitego brata, Zaturce i zbrojną ręką go zajęli. Sprawcy bratobójstwa pozostali bezkarni...

Ludzie to byli czy szakale?...

A. M.

Literatura, a prasa

Przy pogłębiającym się kryzysie czytelnictwa i sygnalizowanym oddawna zmierzchu książki, zastanawia fakt mnożenia się czasopism literackich u nas. Wypożyczalnie obniżają abonament do minimum, księgarze skarżą się, że nawet romanse sensacyjne coraz mniej się rozchodzą, na poezje trzeba szukać nakładców między prywatnymi mecenasami sztuki czystej, — a tu wyrastają raz po raz nowe organy młodej przeważnie generacji terminatorów Apollina i jakoś z biedą utrzymują się na powierzchni.

Skąd to zjawisko? Przypisać je po części należy ruchliwości, energji i wytrwałości poszczególnych jednostek, zabiegających o zdobycie własnej trybuny wypowiadania się niekrępowanego. Głównie wszakże skłania do prób i wysiłków w tym kierunku niewłaściwy stosunek prasy do literatury, gdzie ta druga czuje się coraz bardziej kopciuszkiem i tzw. piątem kołem u redakcyjnego wozu.

Powojenna „amerykanizacja" naszej prasy musiała się odbić niekorzystnie przedewszystkiem na dziale literackim dzienników. Strona informacyjna rozrosła się kosztem pozostałych rubryk. Reporterka wzięła górę nad publicystyką. Coraz mniej artykułów zasadniczych i feljetonów, wierszy i sprawozdań z ruchu umysłowego, natomiast coraz więcej telegramów, wiadomości kronikarskich, sensacyj i ciekawostek ze świata. Nawet organy ideowe, dzienniki stare i poważne, naśladują dziś metody tzw. brukowców, całą rację istnienia opierających na sprawnej, wszechstronnej służbie informacyjnej, nowinkarsko - reporterskiej, z wyzbyciem się wyższych aspiracyj publicystycznych.

Dział literacki był tą rubryką, która przed wojną w całej szanującej się prasie wszystkich zaborów stanowiła ozdobę i atrakcję dziennika, pilnie czy tywaną i nagół dość starannie prowadzoną. Mieściły się w tym dziale zazwyczaj: oryginalny (częściej tłumaczony) odcinek powieściowy, feljeton tygodniowy lub przygodny, przegląd wystaw sztuki, sprawozdania z teatru i sali koncertowej, recenzje świeżo wyszłych książek, wiersze okolicznościowe, krótkie nowelki itp.

Obecnie kilka zaledwie największych pism codziennych w Polsce dba jako tako o zaopatrywanie swego działu literackiego, traktując go zresztą dorywczo i bezplanowo, reszta gazet natomiast poprzestaje na komunikatach radjowych i notatkach o głośniejszych filmach, zadawala się tuzinkowemi sprawozdaniami z teatru i gotowemi, nadsyłanemi przez wydawców w celach reklamowych wzmiankami o niektórych nowościach rynku księgarskiego. Do wyjątków należą dzienniki trzymające stałego referenta literackiego. Przeważnie odpowiadają za tę dziedzinę ludzie bez najmniejszych kwalifikacyj, zawodowi „wzmiankarze" i „przyczynkarze", a najczęstszą ich bronią jest nie pióro lecz... nożyczki.

Stan to nienormalny i źle wróżący o posępach kultury. Jeśli czytelnictwo książek podupada, jeśli zainteresowania dla ruchu umysłowego i zdobyczy ducha raptownie maleją, prasa jako codzienna towarzyszka mieszkańca miast winna je podtrzymywać, owszem rozbudzać i krzewić. Tyczy się to osobliwie książki, wobec której obowiązkiem jest sumienia narodowego popierać zdrowe piśmiennictwo, piętnować złe i rozkładowe.

Wciąż się narzeka, że takie „Wia-

domości Literackie" jednostronnie tendencyjnie i nierzetelnie informują publiczność, że forsują propagandę antytradycjonalistyczną. Ale równocześnie przeocza się brak innego, równie czujnego i dokładnego informatora, nie chce się przyznać, że czytelnik spragniony obszernych relacyj ze świata literatury i sztuki, sięga po to pismo, któr ów głód zaspakaja, obojętne, w jaki z punktu widzenia ideowego sposób. Byle obficie, zajmująco i przystępnie.

Czasopisma ściśle, „fachowo" literackie są niewątpliwie potrzebne i pożyteczne, ich jednak obecność nie wyręcza jeszcze wcale prasy i nie zwalnia od obowiązku pieczołowitości wobec swego działu literackiego. Najważniejsze zaś tutaj są recenzje, bo przeciętnemu inteligentowi niepodobna poprostu zorjentować się w nawale nowości wydawniczych, a poza rzadkiemi pogadankami w radjo, nigdzie tu tak łatwo nie znajdzie uczciwego przewodnika.

Sumienne recenzje to ważny probierz wartości pisma, które je pomieszcza. Z jednej strony potrzeba tu dobrej woli, z drugiej odwagi. Dobrej woli, by odmierzyć szczerą miarą, bez sfałszowań wagi, tak jako i nam mierzą. Odwagi zaś, by pamiętać zawsze o własnem credo i nie sprzeniewierzyć go w wypowiedzeniu swego zdania, choćby to dotknąć miało kogo, nie osobiście rozumie się, ale ideowo. Krytyk ma pozostać sobą bez względu na-to, co osądza i kogo. Prawo wolnej indywidualności, prawo przekonania i odczucia indywidualnego, to najwyższy jego przywilej i najcenniejszy.

Istnienie „Wiadomości" i „Pionów", „Marchołtów", „Zetów" i „Prosto z Mostu", musi być raczej zachętą dla prasy codziennej do szerszego uwzględniania spraw piśmienniczych, do szlachetnego w dostępnych granicach współzawodnictwa z niemi w zabieraniu kompetentnego głosu na tematy literac kie, a zwłaszcza do rzetelnej, krytycznej oceny plonów każdorocznego żniwa pisarskiego.

C. LECHICKI.

Niemiecka książka o stroju śląskim

Wydana na początku bieżącego roku książka niedawno zmarłej etnografki śląskiej Elżbiety Grabowskiej *) nie wnosi do nauki nic nowego. Autorka wymienionej publikacji pracuje bowiem od czasów przedwojennych na polu etnografji i to wyłącznie w zakresie stroju śląskiego. — Dzieło obecne sumuje wszystkie jej dotychczasowe wyniki i przedstawia całokształt stroju górnośląskiego z uwzględnieniem wszystkich ważniejszych grup kostjumologicznych.

GÓRNOŚLĄSKIE GRUPY KOSTJUMOWE

Tak więc daje autorka wyczerpujący opis stroju bytomsko-rozbarskiego i to zarówno odzieży męskiej, jak i kobiecej, codziennej, świątecznej i ślubnej. Drugą grupą jest strój górniczo-hutniczy, a więc robotniczy i paradny, sztygarski. Grupę trzecią stanowi Szywałd, który chociaż jest dawną osadą niemiecką, posiada ludność silnie jednak z polską wymieszaną.

Strój szywałdzki kobiecy różni się od innych grup o tyle, że stanik przyszyty do kiecki, podszytej w pasie grubym wałkiem, zachodzi bardzo wysoko pod szyję, sam jest natomiast bardzo krótki, na skutek czego stan takiej sukni sięga aż pod piersi. Kabotek biały pod stanikiem posiada bardzo krótkie rękawki z kokardką. Na to wszystko wkłada się, jak wszędzie na Śląsku, chustę w kwiaty, skrzyżowaną na piersiach i po bokach zatkniętą na stanik. Strój ten jest naogół utrzymany w kolorze czarnym, lub skombinowany z zielonym, czerwonym i fioletowym.

Dawniej noszono na głowie obcisłe białe czepce, chustki białe, haftowane krzyżykiem, czepce jedwabne oraz futrzane na zimę, zastąpione zczasem (koło 1905 r.) czarną chustką, bardzo bogato i pracowicie haftowaną w ornament roślinny. Tak samo do przeszłości należą już długie, czerwone pończochy, układane w fałdy (podobnie jak w Cieszyńskiem), krótkie otwarte z przodu jupki, „plenty" i t. d.

Strój raciborski noszony również u nas w powiecie rybnickim, zanika niestety w szybkiem tempie. Stanik przyszyty do kiecki, biały kabotek, chustki skrzyżowane na piersiach i tureckie chusty oraz „fakle, oto elementy stroju, jakie występują po obu brzegach Odry. Po tamtej stronie granicy widzimy jednak nieco inne i bardzo rozmaite czepce z przewagą czepca złotego oraz w zimie futrzanego, jak również jedwabne adamaszkowe spencery, u nas rzadko noszone. Nasz czepiec raciborski przypomina formą tamtejszy złoty, jest jednak sporządzony z płótna i koronki, podobnie jak z koronki jest sporządzony często u nas w użyciu „kozielok". —

Czwartą grupą kostjumową na terenie Górnego Śląska jest grupa opolska, będąca już w zupełnym zaniku. Strój ten podobnie jak i u nas bywa zastępywany uniwersalną jakłą i kiecką. Składał się on ze stanika (gorsetu), przyszytego do kiecki, który był głęboko wycięty pod pachami i na plecach, oblamowany wstążką i pięknie haftowany. Stroju dopełniał biały kabotek wykończony koronką, spencer i haftowany lub jedwabny fartuch w kwiaty oraz jak wszędzie korale. Na głowę wkładało się długi, opadający na plecy tiulowy czepiec, przybrany wstążkami i kwiatkami, lub mały płócienny, obszyty koronką.

Dwie ostatnie grupy stanowią Nysa i Pszczyna. W stroju nyskim, kładzie się główny nacisk na jedwabny, bogato wyszywany spencer, zdobiony koronkami fartuch, oraz brokatowy, złotem haftowany czepiec, zbliżony do raciborskiego. Nosi się też tutaj czepce z czarnego aksamitu, haftowane srebrem, zwykłe małe płócienne, całkiem od nich różne koronkowe oraz bardzo charakterystyczne t. zw. Barthaube z długiemi koronkowemi kryszami po bokach, wreszcie futrzane „kommode'y".

Dobrze nam znany strój pszczyński jest nieco odmienny od dawnego. Dzisiejszy stanik jest znacznie wyższy od uprzednio noszonych niskich oplecków, tak samo kabotek wykończony koronką stracił zupełnie zdobienie z haftu krzyżykowego przy kołnierzyku i mankieciku krótkiego rękawa, co upodabniało go w swoim czasie do kabotka góralskiego z Istebnego. Strój głowy pozostał niezmieniony.

POCHODZENIE ŚLĄSKICH STROJÓW LUDOWYCH.

Tak przedstawiałaby się pokrótce część opisowa omawianego dzieła. Zkolei przejdziemy do części genetycznej i zajmiemy się sposobem rozumowania autorki, jej argumentacją i wnioskami, do jakich dochodzi w związku z pochodzeniem ludowego stroju.

Całkiem słusznie wychodzi autorka z założenia, że ludowy strój śląski nie powstał samorodnie, lecz pod wpływem stroju miejskiego. Wystarczy rzucić okiem na dość jednolity charakter tego stroju na całym Śląsku, by się o tem przekonać. Niemniej autorka posuwa się dalej w swych dociekaniach, stwierdzając z całym spokojem, że strój śląsk wywodzi się oczywiście z miejskiego stroju niemieckiego w XVI-go, że wogóle cały Śląsk jest domeną wyłącznie kultury niemieckiej.

Dlaczego? Otóż dlatego, że jedyny strój, na jaki stać było Polaków, stanowiła „płócienna koszula, przepasana powrozem, pozatem chodzono boso, jedynie w zimie wdziewając kożuch i buty". Argument ten rozbraja swoją naiwnością. Ignoracja, przebijająca z powyższych słów, dowodzi tylko, z jakim zapasem wiadomości o kulturze polskiej zabrała się autorka do pisania „naukowej" pracy. Autorka nie wie lub nie chce wiedzieć, że strój dwuczłonowy, złożony z spodnicy i gorsetu, przytem bogato zdobiony zarówno haftem jak koronką, jest noszony w obrębie licznych polskich grup etnicznych, że wymienimy Krakowiaków, Księżaków Łowickich, Kurpiów etc. Strój ten powstał w podobny sposób jak w Niemczech i wogóle w całej Europie, t. j. w oparciu o strój miejski. Że przeszłość tego stroju na ziemiach polskich jest równie starodawna jak gdzieindziej, świadczą o tem poważne źródła, jak testamenty włościańskie z XVI i XVII w., współczesne im opisy, przekazane przez dawnych pisarzy polskich (Klonowicz, Radziwiłł, Zbylitowski itd.), oraz mniej liczne materjały ikonograficzne w rodzaju rysunków Norblina. Twierdzenie autorki, że strój tego typu jest strojem wyłącznie niemieckim, polega na nieporozumieniu, gdyż przyjął się on w Niemczech jako przejaw uniwersalnej mody europejskiej w. XVII i XVIII-go, zapoczątkowanej głównie przez Francję i Włochy. Wobec powyższego wiara autorki w niemieckość tego stroju ma charakter wyłącznie osobisty.

DALSZA TENDENCYJNOŚĆ WYWODÓW.

Drugim argumentem, jakim autorka chce nas przekonać, że Śląsk zawdzięcza wszystko Niemcom, jest fakt kolonizacji niemieckiej jaka miała miejsce w XIII. wieku po napadzie mongolskim na Polskę. Przy tej okazji cytuje polskiego autora Leonarda Lepszego, żeby stworzyć sztucznie pozór bezstronności. Nie było to potrzebne, bo fakt kolonizacji niemieckiej jest nauce polskiej znany, choć w innem naświetleniu, niż mu daje nauka niemiecka. Tak samo nie mają wartości poglądy autorki na rolę żywiołu niemieckiego w tworzeniu średniowiecznej kultury polskiej, gdyż noszą one cechy naukowego dyletantyzmu i wybitnie szowinistycznego nastawienia. Na „objektywizm" autorki rzuca dostateczne światło łączenie w jeden związek przyczynowy XIII-wiecznej kolonizacji z współczesnym śląskim strojem ludowym. Ten ostatni zawdzięcza przecież swój wygląd miejskiej kulturze, głównie XVIII w. i rzecz oczywista, nie ma nic wspólnego z kulturą niemieckich kolonistów XIII. w.

W rezultacie należy stwierdzić, że praca Grabowskiej ma niewątpliwie wartość jako zbiór sumiennie zebranych i dobrze ilustrowanych materjałów do śląskiego stroju ludowego, natomiast zawodzi zupełnie w ustępach poświęconych zagadnieniom ogólnym i zasadniczym. Co więcej charakter tych ustępów upoważnia do stwierdzenia, że praca ta do pewnego stopnia ośmiesza naukę niemiecką.

AGNIESZKA DOBROWOLSKA.

*) Elisabeth Grabowski †, Die Volkstrachten in Oberschlesien, Aus dem Nachlass herausgegeben von Hedwig Grabowski, 1935, Verlag Priebatsch's Buchhandlung Breslau.

Walka z owadami

Z pośród 200 najważniejszych gatunków owadów, połowa zaledwie uważaną być może za pożyteczne dla człowieka. Druga połowa, to szkodniki, nieraz groźne, nieraz wręcz niebezpieczne dla życia, żeby tylko wymienić szarańczę, muchy tse-tse i komary, roznoszące żółtą febrę.

Ułatwiona, a szybka komunikacja między obiema półkulami sprawiła, że pewne szkodniki ze świata owadów rozprzestrzeniły się po całym świecie. Tak np. z Ameryki przyszły do nas: **phylloxera**, niszcząca winnice, **doryphora**, wyrządzająca olbrzymie szkody w ziemniakach. Wzamian za to otrzymała Ameryka od nas w prezencie słynną „muszkę heską" i pewną odmianę motyla „limantria dispar", największego szkodnika rolnictwa.

Toteż wszystkie kraje podjęły z temi szkodnikami nieubłaganą walkę, w której znalazły zastosowanie nawet promienie ultrafiolkowe i gazy trujące. Najskuteczniejszą jednak bronią okazała się racjonalna hodowla pewnych gatunków owadów, które pasorzytują na owadach szkodliwych. Pierwsze próby w tym kierunku podjęto w Ameryce już w roku 1882 i i od tego czasu entomolodzy osiągnęli już bardzo poważne rezultaty. Między innemi uratowano plantacje trzciny cukrowej na wyspach Hawajskich, zagrożone pewną odmianą koników polnych, wysysających sok z łodyg, przez sprowadzenie aż z Australji drobnego pasorzyta, którego larwy żyją w ciele tego szkodnika.

W Ameryce istnieją już liczne, specjalne fermy, hodujące pewne odmiany owadów-pasorzytów. Ostatnio powstała podobna hodowla i we Francji, w Mentonie. Hoduje się tam maleńką muszkę „Trichogramma minutum", pasorzytującą na jajkach wszystkich niemal owadów. Hodowla prowadzona jest na wielką skalę, tworząc niemal specjalną gałąź przemysłu: paczka, zawierająca tysiąc egzemplarzy tego pasorzyta, kosztuje 12 franków.

—o—

Kronika literacka

W *Prosto z mostu* (Nr. 41) Stanisław Brzeziński zdaje sprawę ze Zjazdu historyków w Wilnie w artykule pt. *Zjazd pod znakiem Lelewela*. Władysław Tylka pisze gwarą rzecz *Jak to panowie na hali kcieli się przenocować*. Aleksander Świętochowski drukuje dalszy ciąg powieści *Twinko*. Pozatem nowela Jerzego Andrzejewskiego *Ucieczka*, Bernarda Połonieckiego *Ze wspomnień wydawcy* (o Orkanie, Przybyszewskim, Staffie, Lacku, Nowaczyńskim, Makuszyńskim), Stefanji Szurlejównej *Szare mgły i czarne kreski*, Jadwigi Kunstetter *Kilka godzin na wystawie w Brukseli*, Wojciecha Wasiutyńskiego *Czucie i szkiełko*.

W Nr. 42 czytamy na wstępie artykuł *Jerzego Andrzejewskiego* p. t. „Książka o winie i karze", omawiający ostatnio wydaną powieść Zofji Nałkowskiej, dalej artykuł polemiczny *Zbigniewa Byrskiego* „Drobny warsztat pracy czy kółko w maszynie", *Henryka Korotyńskiego* „Liczymy ufnie na młodzież", *Alfreda Jesionowskiego* „Lata gimnazjalne Mikołaja Srebrempisanego", reportaż z Krzemieńca pióra *Aleksandra Piskora*, list z Poznania *Józefa Kisielewskiego*. Dalej w numerze czytamy felieton *Wojciecha Wasiutyńskiego* „W pewnej bardzo przykrej sprawie", dowcipny skecz o Operze Warszawskiej i stałe działy aktualjów: Wycinanki, przegląd prasy, na marginesie, panopticum, recenzje filmowe itd.

W *Myśli Narodowej* (Nr. 42) Władysław Jabłonowski, w artykule *Anglja i Włochy* demaskuje perfidną politykę rządu brytyjskiego w sprawie konfliktu Włoch z Abisynją. Również w obronie Italji występuje Kazimierz Marjan Morawski w szkicu pt. *Rzym i Kartagina*. Prof. Stan Pigoń ogłasza drugą garść listów C. Norwida. Pozatem zwykłe rubryki.

ŚWIAT KOBIECY

Ploteczki o modzie

— Wełna, aksamit i jedwab, — te trzy materjały królować będą w modzie zimowej. Przedewszystkiem jednak aksamit, zupełnie nowy i oryginalny, mieniący się niby tafta całą gamą kolorów, niesłychanie miękki i miły w dotknięciu.

Dzisiejsze wełny, te najpiękniejsze i najdroższe, jakie produkuje nam Paryż, to nie seryjne wyroby maszynowe lecz materjały ręcznie tkane, leciutkie a bardzo ciepłe, o powierzchni lekko chropowatej.

Z jedwabi pojawia się z powrotem jedwabny jersey, obok jedwabi sztywnych, faille, broché itp.

— Wraca znów moda sukien i czarnego satin, przyczem kombinuje się je z obu stron materjału: błyszczącej i matowej.

Futrzane peleryny „cape" mieć będą kapturki, które w razie zimna zarzucać się będzie na głowę. Oszczędzi to nam noszenia kapelusza, z którym zawsze dużo jest w zimie kłopotu, kiedy podniesiemy do góry wysoki kołnierz futrzany.

— Również i płaszcze futrzane z podobnemi kapturkami stanowić mają ostatni krzyk mody.

— Przy strojniejszych sukniach popołudniowych paski ozdabia się różnokolorowemi kamieniami lub kwiatami ze szkła albo metalu.

— Kostjumy sportowe przybiera się bogato rozmaitemi ozdobami ze skóry. A więc skórzane wypustki przy żakiecie i spódniczce, nakładane skórzane kieszenie i paski.

— Wracają znów do mody hafty z drobniutkich perełek lub koralików, — jak również różnobarwne hafty wykonane włóczką, zdobiące rękawy oraz wycięcia pod szyją. Szczególną sympatją cieszą się przytem motywy ludowe.

— Do ciemnych sukien popołudniowych nosi się aksamitne krawaty w żywych barwach.

— Suknie popołudniowe odznaczają się bogatem a urozmaiconem przybraniem, na które składają się hafty z kolorowego jedwabiu, metalowych nici i pailletek, rozmaite żaboty, kołnierzyki, frendzle i pasmanterje.

— Modne są aksmaitne kamizelki, przyczem materjał wykazuje dość śmiałe zestawienia żywych kolorów, jak np. paski czerwone i niebieskie, turkusowy z bronzowym i koralowym itp.

— Do kapeluszy nosi się woalki krótkie a odstające. W obecnym, przej ściowym czasie najodpowiedniejszem i najpopularniejszem nakryciem głowy jest znowu beret, przybierający coraz nowe, fantastyczne kształty.

Zimowe płaszcze

Tegoroczna moda jesienno-zimowa przynosi nam w płaszczach ogromną rozmaitość fasonów. Wybór zatem nietrudny: Każda z pań znajdzie coś odpowiedniego do swej figury i... kieszeni.

Zasadniczo są płaszcze zimowe długie, pokrywające całą suknię. Krój prosty, niewiele ozdób — o ile nie bierzemy pod uwagę przybrania futrem.

Dla osób smukłych o ładnej figurze przygotowały wielkie pracownie paryskie zupełnie obcisłe płaszcze, zaledwie lekko kloszowe u dołu, z szerokiemi rewersami. Te ostatnie mogą być z futra, z którego również będą i duże nakładane kieszenie. Płaszcze te zapinane są na szamerowania (t. zw. „brandenburgi" w krawieckim żargonie paryskim), — co nadaje im niejako charakter wojskowy, obecnie bardzo modny.

Zupełnem przeciwieństwem tych płaszczy są — odpowiednie zwłaszcza dla osób tęższych — płaszcze zupełnie luźne, o kroju dzwonowym, z dwoma fałdami na plecach. Płaszcz taki, o charakterze sportowym, robiony jest z materjałów praktycznych, o mieszanych kolorach, jak tweed, jersey, homespun. Kołnierz futrzany, albo też z tego samego materjału, do podnoszenia i zapinania pod szyją.

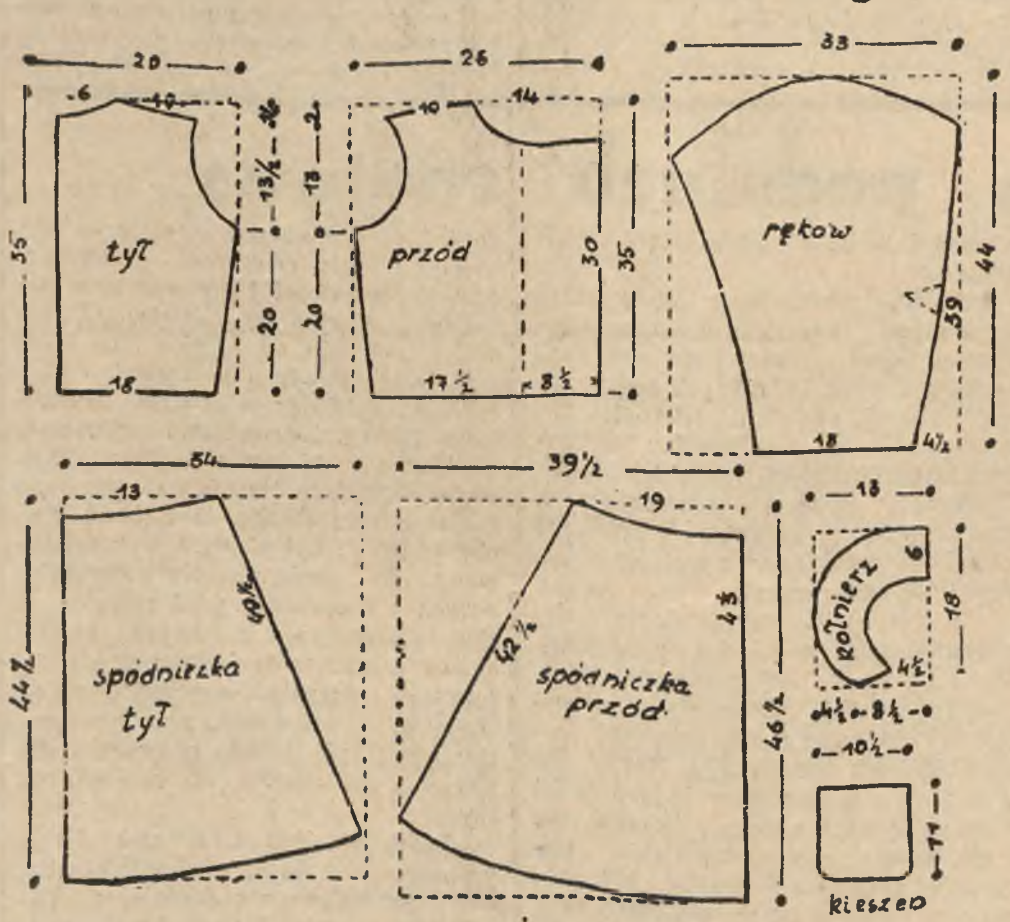
Bardzo zgrabnie i elegancko wygląda dalej dość krótki płaszcz we formie tuniki, obramowanej puszystem futerkiem. Model ten nadaje się szczególnie dla osób zupełnie młodych.

Wspomnieć wreszcie trzeba o płaszczach sportowych, zrobionych z materjałów dwustronnych, przyczem spód jest z reguły w deseń szkocki. Płaszcze te odpowiednie będą do sportu i do podróży.

Nie brak i innych jeszcze, dość śmiałych pomysłów, jak np. płaszcz sukienny z szerokiemi, kielichowemi rękawami futrzanemi, albo kombinowanie wełny z futrem, z którego zrobione są rękawy, kołnierz i cała dolna połowa płaszcza. Są to jednak efemerydy, ani zbytnio praktyczne, ani ładne, a więc nie mogące liczyć na powodzenie.

Praktyczna sukienka dla dziewczynki





Potrzeba na nią 1.60 mtr. materjału szerokości 1.40 mtr., — oraz 1/4 mtr. białej piki szerokości 1 mtr., — na kołnierzyk.

Najodpowiedniejszą będzie lekka wełna w kolorze granatowym, — może być też i w deseń szkocki. W tym ostatnim wypadku kołnierzyk, pasek i mankiety robimy z materjału jednobarwnego, harmonizującego z jednym z zasadniczych kolorów deseniu.

Wymiary podane obliczone są na dziewczynkę w wieku 8—10 lat.

Poradnik dla gosposi

POTRAWKA Z NÓŻEK CIELĘCYCH

Ugotować nóżki cielęce z dodatkiem włoszczyzny i korzeni. Gdy już będą zupełnie miękkie, wyjąć ze smaku, osączyć, a gdy przestygną, zdjąć mięso z kości i pokrajać w drobną kosteczkę.

Kilka korniszonów pokrajać w plasterki. Upalić łyżkę cukru na karmel, uważając, aby go zbytnio nie zrumienić, bo będzie gorzki. Zasmażyć łyżkę masła z czubatą łyżką mąki, rozprowadzić smakiem, w którym gotowały się nóżki, zagotować mieszając. Zakolorować sos karmelem, nadając mu żywy bronzowy kolor. Doprawić mocnym bulionem, sokiem cytrynowym i cukrem, włożyć korniszony, zagotować. Włożyć w gotowy sos nóżki, przykryć i trzymać na parze pół godziny, aby mięso przeszło smakiem ostrego sosu. Wydawać z kartofelkami przysmażanemi.

GALARETA Z JARZĘBINY

Przebrać jagody najlepiej zebrane po pierwszych przymrozkach, wtedy mniej cierpkie zalać wodą, aby pokryło, gotować aż wszystkie popękają. Zcedzić przez płótno nie wyciskając. Wlać sok w miskę do smażenia, zmierzyć drewienkiem wysokość płynu, naznaczyć, wsypać cukru, równą miarę jak soku i smażyć powoli, dopóki płyn się niew ygotuje do smaku. Na koniec włożyć benzoesu utartego na proszek w ilości pastylki na kilo cukru, wlać ciepłe do szklanek, w których zastygnie, wiązać po ostudzeniu.

OMLET „AUX FINES HERBES"

Pokrajać drobno 5 dkg. drobnych pieczarek, posiekać dużą cebulę, po łyżeczce koperku i zielonej pietruszki. Rozpuścić łyżke masła, zasmażyć w niem z początku cebulę, gdy miękka, dodać pieczarki i zieleninę, po minucie duszenia odstawić.

Sześć żółtek ubić z łyżką mąki i sześciu łyżkami słodkiej śmietanki lub mleka, osolić, dodać ubitą na sztywno pianę i białka, wymieszać ostrożnie i dolać na dużą bardzo patelnię z obficie rozpuszczonem masłem. — Lekko zarumienić od spodu wsunąć na dwie minuty do piecyka, gdy tylko masa się lekko zetnie, wyjąć z piecyka. Na jedną strona położyć usmażona powyżej masę, przykryć drugą połowa, ostrożnie przełożyć na półmisek i natychmiast podać, aby omlet nie opadał.

SZARLOTKA Z JABŁEK W KRUCHEM CIEŚCIE

Zagnieść 10 dkg niesolonego masła z 1/4 kg mąki, łyżką stołową cukru i taką łyżką gorącej wody, doskonale wyrobić ciasto i rozwałkować bardzo cienko Ciastem tem wyłożyć dno i boki rondla wysmarowane masłem i wysypane tartą bułeczka. Na ciasto ułożyć równa warstwą cieniutko poszatkowane jabłka (1/2 kg) posypane cukrem i cynamonem, przykryć ciastem i wstawić w piec na godzinę. Na wierzch na ciasto położyć kawałek masła i nakłuć ciasto w kilku miejscach.

Z WYDAWNICTW

„Bluszcz" Nr 41, zawiera bogatą i urozmaiconą treść. W dziale literacko-społecznym krótki artykuł p. t. „Lat temu 70..." wskrzesza datę powstania „Bluszczu" — 3 października 1865 roku i związane z jego nazwą wypowiedzi Marji Ilnickiej i Wacława Szymanowskiego.

W ankiecie „Nowoczesne niewolnictwo kobiety" zabiera głos J. Strzelecka artykułem „Kobieta niewolnicą haseł". Dokończenie fragmentu pióra H. Januszewskiej pt.: „Nawojka", rewelacyjny reportaż H. Boguszewskiej i J. Kornackiego o jedynej w Polsce szyperce p. t.: „Na Berlince", poezje ciekawe studjum Hellera p. t. „Sybilla nadwiślańska", recenzje z premjer, wreszcie dział aktualji kobiecych i przegląd prasy, wypełnia część literacko - społeczną numeru. W dziale „Wychowanie i szkoła" zwraca uwagę reportaż „W bibljotece dla dzieci". W świeżo wprowadzonym dziale „Muzyka na codzień" mamy artykuł „Czy młoda Polska śpiewa i gra?" oraz piękne preludjum Wróblewskiej na fortepian.

Działy: „Nasz lekarz", „Ogrodnictwo i hodowla" oraz „Dom i gospodarstwo" zawierają aktualne wskazówki i przepisy. W dziale mód zwracają uwagę eleganckie i praktyczne modele sukien wizytowych i domowych.

Na poznańskiej fali

Siedzimy w Poznaniu przy herbatce, rozmawiając o Lwowie. Ktoś otworzył radjo .Co to? Wesoła Fala? Przecież dziś sobota, a Fala idzie .w niedziele. Ale najwyraźniej w świecie słychać charakterystyczny śmiech i bałakanie Tońka, tylko, że partnerem jego jest nie Szczepko, ale pani Jędrkowiakowa. Tońko prawi swej towarzyszce o lwowskiej mięszaninie, która tak smakuje przy piwie, a obywatelka z Górnej Wildy zachwala mu obkład, metkę i błondkę. On mówi czysto po łyczakowsku, ona po wildecku, ale oboje rozumieją się świetnie. Speaker dopomaga do rozwiązania zagadki. Był to „Uśmiech Poznania", wesoła audycja poznańska Gerżabka.

Zaciekawiła nas ta próba połączenia regjonalizmu lwowskiego z poznańskim. W dzień potem wybieram się do poznańskiej rozgłośni. W pokoju referenta prasowego i sportowego wre praca. Miła niespodzianka. Okazuje się, że referent sportowy p. Prytyś jest lwowianinem, że p. Gerżabek pochodzi również z Małopolski i że w rozgłośni jest jeszcze kilku innych Małopolan. Na zajmującej pogadance upływa nam kilkanaście minut, poczem referent prasowy dr. Troczyński wprowadza mię do gabinetu dyrektorskiego.

Z rozmowy z dyr. Koziełowskim odnoszę wrażenie, że rozwój wesołych audycyj poznańskich nie pójdzie w tym kierunku, którego wyrazem był słyszany przez nas ostatnio „Uśmiech Poznania".

Dział audycyj wesołych — mówi p. dyrektor — jest naszą poważną troską. Chcielibyśmy wyzwolić się z pod wpływów Lwowa i stworzyć swój własny, poznański typ takich audycyj. Trzeba sobie jednak zdać sprawę z trudności, na jakie natrafiają tu wysiłki, skierowane ku temu celowi. Poznań — w przeciwieństwie do Lwowa — nie ma tradycyj humoru, z których możnaby korzystać w tej pracy. Jest to miasto, w którem szczególnie ciężko o element humoru, dowcipu ,wesołości. Toteż nie należy się dziwić, że rozgłośnia poznańska w dziedzinie audycyj wesołych jest dotychczas w stadjum eksperymentowania. Za laboratorjum do tych eksperymentów służy nadawany co wtorku w zasięgu lokalnym „Swawolny kwadrans", w którym dochodzą do głosu młodzi poznańscy humoryści. Wyniki są dodatnie.

Zapytuję, jak przedstawia się sytuacja w innych działach audycyj.

Tu praca jest o wiele łatwiejsza — oświadcza szef poznańskiej rozgłośni. Duży nacisk kładziemy na audycje literackie. Fragmenty teatralne, słuchowiska i audycje muzyczno - słowne. Nadaliśmy trzy wieczory, poświęcone twórczości Kasprowicza. Nadamy ich jeszcze kilka. Pozatem przygotowujemy wieczory Klemensa Janickiego, Ryszarda Berwińskiego i młodych literatów poznańskich. Wkrótce nada Poznań kilka ciekawych, opracowanych dla radja fragmentów sztuk teatralnych. Nie zapominamy również o słuchowiskach oryginalnych.

Powoli, ael z coraz większem powodzeniem rozbudowuje się dział audycyj muzyczno - słownych. Jak wnosić można z głosów krytyki, audycje Roya, spotkały się z uznaniem. Niezadługo z naszej anteny pójdą dwie nowe tego rodzaju rzeczy: „W słońcu południa" i „Jak góral spotkał się z Kaszubą".

— A kto prowadzi w Poznaniu dział audycyj dziecinnych — radjowa mamusia, jak w Warszawie, czy też ciocia, jak u nas we Lwowie?

Okazuje się, że w Poznaniu — na odmianę — kieruje temi audycjami wujek, wujaszek Kazio, redaktor Piekarczyk. Dzieciaki go bardzo lubią. Dwa cykle audycyj dla dzieci: „Wędrówki dookoła globu" i „Rozmówki Majsterklepki z Lepiglinką" idą stale z Poznania na antenę ogólno-polską.

Dyrektor Kosidowski mówi następnie o kierowniku muzycznym prof. Łukasiewiczu, znanym szopeniście, który w pracę swą na terenie rozgłośni wkłada cały zasób swej wiedzy. Poznań może się poszczycić takimi artystami, jak Feliks Nowowiejski, znany kompozytor i mistrz gry na organach, jak Józef Woliński, lwowianin, osiadły pod Poznaniem, słynny tenor, który niedawno powrócił z Ameryki, jak jedyny — zdaje się — w Polsce mistrz w grze na wiola d'amore Jan Rakowski. W bieżącym se onie Poznań, tak samo jak Lwów nada 8 koncertów symfonicznych.

Przed pożegnianiem pozwalam sobie na niedyskretne trochę pytanie. Pytam o stosunek do rozgłośni lwowskiej.

— No cóż — mówi dyr. Kosidowski — według ogólnej opinji Lwów stoi na pierwszem miejscu wśród rozgłośni regjonalnych. Dążymy do tego, by mu dorównać, chcemy audycje nasze postawić na poziomie, osiągniętym przez rozgłośnię lwowską.

Życzą Poznaniowi sukcesów w tej szlachetnej emulacji i unosząc serdeczne pozdrowienia dla lwowian i Lwowa opuszczam gabinet dyrektora poznańskiej rozgłośni.

T.

Na pajęczynach anten

Obecna sytuacja nie usposabia, nie może usposabiać do patrzenia na teraźniejszość przez różowe okulary. Świat cały przedstawia się w ciemnych barwach, a nawet my sami chętniej dopatrujemy się w nim rzeczy przykrych, ciężkich i smutnych, niż radosnych i **pogodnych**; zdaje nam się, że te ostatnie przeniosły się na inną planetę, a tu zostały same zgryzoty i przykrości. Poprostu maltretujemy sami siebie, dręczymy się nieistotnemi zmartwieniami, zapominając, że wewnętrzną pogodę wytwarzają nie okoliczności, lecz my, własną chęcią i wysiłkiem dobrowolnym. — Lekcją — przypuszczam, iż niezamierzoną — pogodnego odnoszenia się do świata, był feljeton radjowy prof. **Kazimierza Brończyka** p. t. **„Uśmiech Podhala"**. Pomijam już sam język tego feljetonu, w którym słowa zestawione w subtelną gamę półcieni i półtonów, w wyniku dawały pełny, dźwięczny odzew; podkreślić chcę przedewszystkiem jego atmosferę, wprost wyczarowaną przez prof. Brończyka. Dawno nie trafiło mi się słuchać audycji tak dziwnie **krzepiącej i mocnej**, jak ten smętny, a pogodny i słoneczny „Uśmiech Podhala". Schorowana Anielcia, czy stary góral praktycznie zgłębiający tajemnice konstrukcji organów. to typy, o jakich trudno zapomnieć nawet dziś, gdy własne sprawy prawie bez resztv absorbują uwagę człowieka. — Audycja ta nadana na całą Polskę, niejednemu otworzyłaby oczy na dary życia, przysporzyłaby wiele pogody i jasnych chwil zgorzkniałym i smutnym. Niestety, Lwów nadawał ją wyłącznie we własnym zasięgu. A szkoda, bo przecież chyba w ogólnopolskim programie znalazłoby się miejsce na ten 10-minutowy feljeton, który swą **wartościową, a odrębną postawą** w pełni na to zasługiwał.

Pogadanka **Tadeusza Ruszczyckiego** o **„Antenach w grodzie Przemysława"**, informowała słuchaczy o próbach nawiązania kontaktu lwowianina z rozgłośnią poznańską, próbach uwieńczonych pomyślnym skutkiem. Jak się dowiedzieliśmy, Poznań jest — w dziedzinie doboru programu — konkurentem Lwowa, stojącego (po Warszawie) na drugiem miejscu; konkurencja to jednak nad wyraz szlachetna i bardzo korzystna, a zaznaczająca się i w poznańskich wesołych audycjach, wzorowanych zresztą — jak dotąd — na typie humoru lwowskiego. Interesujące dane o pracy anten w grodzie Przemysława, uplastyczniały tę pogadankę, napisaną żywo, **lekko i zgrabnie.**

Do audycyj, trafiającvch do stosunkowo ograniczonego smaku artystycznego słuchaczy, należała pogadanka Kazimiery Alberti p. t. **„Sennik francuski"**. Garść obyczajowych obserwacyj prelegentki (w wielu miejscach mocno niewybrednych i płytkich) w istocie nie mówiących nic specjalnie ciekawego, nanizana została na litanijnie powtarzające się słowa: „Jeśli przyśni się wam"... Spostrzeżenia te zdradzały dużą powierzchowność obserwacyj, a opracowane jakby ze specjalnem nastawieniem na pewien typ słuchacza, nużyły swą jednostajnością. Dość monotonna forma tego feljetonu nie podnosiła poziomu, ni jego wartości artystycznej.

Prof. **Zdzisław Żygulski** w szkicu literackim przypomniał 35-lecie Teatru Wielkiego. Zarys jego historji od chwili otwarcia — do wybuchu wojny, zarys podany z dosyć wielką dokładnością, domagałby się jednak jakiegokolwiek bodaj uwzględnienia i **czasów powojennych.** Wprawdzie lukę tę możnaby pominąć milczeniem, ale już sam choćby tytuł szkicu pozwalał spodziewać się więcej nazwisk, niż Pawlikowskiego, Hellera i... Horzycy.

Z pogadanek o twórczym Lwowie wspomnę o reportażu **Kazimierza Wajdy** p. t. **„W sali operacyjnej lwowskiego chirurga"**. Treść reportażu doskonale dostosowana do założeń swego tytułu, dawła obraz twórczych wysiłków, dokonywanych w naszem mieście. Rzut oka na wspaniały, górujący nad Lwowem budynek dawnej Kasy Chorych, opis mieszczącej się na jednem z jego piętr sali operacyjnej, a właściwie ściślej mówiąc aparatury chirurgji ortopedycznej, rysowały rzeczywiście twórcze wysiłki lwowian. Trochę może zanadto fachowe objaśnienia pewnych przyrządów, wynagradzał **zapał**, z jakim reportaż ten został przeprowadzony i wygłoszony, tak. iż należał on do audycyj interesujących.

Wesoła audycja muzyczna **„Towarzystwo śpiewacze — i owszem"**, pozwoliła słuchaczom na spędzenie miłych chwil przy głośnikach i słuchawkach. Parodystyczne przedstawienie stosunecków panujących w małomiasteczkowym chórze, nieprzeciągnięta karykatura i **doskonałe wykonanie**, złożyły się na udatną całość. Tyleż — a nawet i więcej pochwał zastosować muszę i do ostatniej Wesołej Fali p. t. **„Aktualjum na cenzurowanem"**. Humor, śmiech, dowcip, tempo, życie tryskało z niej szeroką strugą; sowicie powetowano nam nieudałe „wstrząsy" z przed dwóch tygodni. Aktualny dowcip polityczny **znakomicie wykorzystany** i podany, świetne djalogi, miłe piosenki, wszystko to **dało** w sumie **naprawdę dobry efekt.**

IRENA NAŁĘCZ.

Ze świata książki

H. i M. Vowles: Człowiek i siły przyrody (wyd. „Bibljoteka Wiedzy", Trzaska, Evert i Michalski S. A. Warszawa).

Książkę tę możnaby nazwać bilansem energji i materji, zużywanych przez ludzkość. Autor rozpoczyna od czasów przedhistorycznych, od epoki kamiennej, — poczem rozwija przed nami barwny obraz kultury wschodniej, tajemnice Egiptu, genjusza Grecji, wytrwałości Rzymu. Przechodzimy przez wieki średnie, w których stopniowo następuje powolne sumowanie wszystkich wysiłków, rozbitych w rozmaitych cywilizacjach. Zaczynają się pojawiać syntezy naukowe. — materja staje się podatnem a potężnem narzędziem w rękach człowieka.

W miarę zbliżania się do czasów współczesnych tempo pracy wzrasta. Świadoma wiedza zastępuje dotychczasową przypadkowość, — odkrycia i wynalazki następują w oszałamiającem tempie. Ale autor umie wprowadzić logiczny porządek w tę naukową inwazję, znaleźć na wszystko logiczne wyjaśnienie. Z książki jego nietylko uczymy się rozumieć przebogatą przeszłość, — ale i dostrzegać drogi dalszego postępu i rozwoju w przyszłości:

Józef Piłsudski: „Ulina Mała" (wyd. Gebethner i Wolff, Warszawa). Jako 35-ty tomik pięknego i pożytecznego wydawnictwa dla młodzieży „Polska i świat współczesny" ukazał sie ten szkic stanowiący jeden z fragmentów „Moich pierwszych bojów."

Jest to opis dramatycznego odwrotu z Wolbromia do Krakowa w listopadzie 1914 roku, kiedy armja austrjacka cofała się w popłochu przed następującymi jej niemal na pięty Rosjanami. Epizod stosunkowo drobny, — zawierający jednak cenny materjał do psychologji dowódcy i żołnierza. Słusznie zauważa w przedmowie mjr. W. Lipiński, że marsz ten przez Ulinę Małą, ma swoje historyczne znaczenie. Piłsudski decydując się na podjęcie tego marszu, musiał wydobyć z duszy swojej decyzję niezmiernie ciężką, przesądzającą w razie niepomyślnego jego przebiegu o losie i istnieniu polskiego żołnierza".

„Ulina Mała" winna znaleźć się przedewszystkiem we wszystkich bibljotekach szkolnych i wojskowych, jako lektura bardzo pouczająca i wartościowa.

(kr.)

Polityczny podsłuch radjowy

Od czasu, gdy na czele francuskiego ministerstwa poczt i telegrafów (któremu podlega też i radjofonja francuska) stanął p. Mandel, — rozpoczął się szybki rozwój tej radjofonji.

Rozbudowano istniejące już stacje, zwiększając bardzo znacznie ich moc w KW., uporządkowano sprawy abonamentu, oraz kontroli rządu nad działalnością stacyj, — stworzono wieloosobową — charakterystyczne jest, że za pomocą wyborów — radę administracyjną i programową, oraz cały szereg innych fachowych komisyj.

Jest jednak we Francji pewna instytucja o charakterze urzędowym, która wyraźnie posługuje się radjem dla celów państwowych. Mamy na myśli otwartą niedawno Paryską stację kontroli audycyj całego świata.

Min. Mandel chcąc być poinformowany o wszystkiem, co się dzieje na falach eteru w ważniejszych krajach, zainstalował przy ul. Grenelle w Paryżu specjalną stację kontroli. Instalacja zmontowana została w ciągu 4 dni.

Stacja podsłuchowa mieści się w forcie Bicetre, który władze wojskowe oddały do dyspozycji Min. P. i T., ponieważ leży on w miejscu odosobnionem i wolnem od zakłóceń elektrycznych.

Instalacja umieszczona jest w trzech fortecznych kazamatach, zaopatrzonych w liczne odbiorniki radjowe, skąd audycje z około 20 różnych zagranicznych stacyj, kablami telefonicznemi przesyłane są na rue Grenelle; tam stenografowie poliglioci notują ich treść. Pozatem w osobnem pomieszczeniu są kontrolowane programy wszystkich rozgłośni francuskich, oraz audycje odpoczynkowe dla personelu.

W Paryżu istniała już stacja międzynarodowego podsłuchu przy Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, gdzie radjowa policja notowała w streszczeniu cały szereg zagranicznych audycyj. W ten sposób Min. Spraw Zagranicznych informowane było o treści propagandowych audycyj, których tak wiele nadają stacje brytyjskie, niemieckie, sowieckie i włoskie. Jednakże ten podsłuch okazał się niedostateczny, — zważywszy, że francuska polityka kolonjalna coraz bardziej interesuje się wspomnianą propagandą zagraniczną.

Brak jeszcze ustalonego międzynarodowego prawa radjowego. Gdy więc dają się słyszeć informacje, podane i oświetlone tendencyjnie — pozostaje jedynie możliwość natychmiastowej odpowiedzi i sprostowania wiadomości na tej samej drodze. Zatem stacja francuska na długich i na krótkich falach powinna to zadanie stale spełniać, działając w ścisłym kontakcie z głównemi czynnikami rządowemi.

Pisząc o tej inowacji prasa francuska zajmująca się żywo sprawami radja, zwraca uwagę, iż ważnem jest, aby podsłuch był również wykorzystywany do porównywania programów obcych z krajowemi, gdyż tylko przez słuchanie audycyj z innych krajów można zebrać wiele interesujących obserwacyj i przykładów godnych naśladowania. W ten sposób stacja podsłuchu może być nietylko pożyteczna dla państwa, ale również dla radjosłuchaczy.

Radjo jest innego rodzaju formą propagandy, niż np. dzienniki. Aby więc mieć dokumenty działalności obcych stacyj, min. Mandel kazał zainstalować w centrali podsłuchowej specjalne urządzenia techniczne, na których utrwalane są audycje na płytach i taśmach stalowych.

(kr.)